

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

WSPOMNIENIA

O BIBLIOTECE NARODOWEJ
W WARSZAWIE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1978

old.
1979 W 582
1982 W 836/20
1980 W 663
1981 D 833/2

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

WSPOMNIENIA

O BIBLIOTECE NARODOWEJ
W WARSZAWIE

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1978

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 300

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poisy Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

WSPOMNIENIA O BIBLIOTECĘ NARODOWEJ W WARSZAWIE

Geneza Biblioteki Narodowej

Plany wielkiej księżnicy narodowej z siedzibą w Warszawie znalazły w wieku XVIII-tym realizację w postaci Biblioteki Publicznej oddanej do użytku czytelników 2 sierpnia 1747 roku w pałacu Daniłowiczowskim. Twórcami jej byli bracia Załuscy. Po trzecim rozbiorze Rosjanie sponiewierali i wywieźli do Petersburga ową pierwszą polską bibliotekę narodową, imponującą światu księgozbiorem zbliżonym do 400.000 tomów.

Następną próbę podjęto w początku XIX-go wieku w ramach działalności Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Biblioteka, gromadzona w pałacu Staszica, podzieliła po powstaniu listopadowym losy swej poprzedniczki. Podobnie ułożyły się dzieje organizowanej równoległe ambitnej Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. W latach późniejszych, po roku 1831, surogatem zbiorów publicznych były cenne biblioteki prywatne: Zamoyskich, Przeździeckich, czy wreszcie najszerzej udostępniona i złączona z bogatym muzeum Biblioteka Ordynacji Krasińskich we własnym gmachu na Okólniku.

W końcowym okresie zaborów, od roku 1907, główną biblioteką stołeczną była znakomicie pomyślana Biblioteka Publiczna im. Kierbedziów na Koszykowej (we własnym gmachu). Funkcje jej były jednak zdecydowanie użytkowe, dalekie od modelu instytucji publicznej typu muzealnego (jeśli nie świątyni książki), o jakiej marzył dla Polski, po zwiedzeniu bibliotek angielskich, późniejszy dyrektor Funduszu Kultury Narodowej, Stanisław Michalski. Marzenia te dzielił z nim Stefan Demby, twórca obec-

nej Biblioteki Narodowej, obchodzącej w br. (1978) pięćdziesięciolecie formalnego istnienia.

We wczesnych latach Niepodległości sytuacja biblioteczna przedstawiała się w Warszawie rozpaczliwie. Biblioteka Uniwersytecka była gruntownie, jak się wtedy mówiło, „meliorowana”, co w praktyce oznaczało przekształcanie jej z rosyjskiej na polską, połączone z unieruchomieniem znacznych części księgozbioru. Studenci odczuwali dotkliwie brak podstawowych podręczników a gromadzenie literatury potrzebnej przy pisaniu prac dyplomowych było połączone z niewyobrażalnymi dziś trudnościami. W tych warunkach Biblioteka Publiczna na Koszykowej ratowała, jak mogła, sytuację. Z książek naukowych korzystać jednak było można tylko na miejscu w przyjemnie urządzonej ale zawsze przepelnionej Czytelni. Jakość księgozbioru, przejrzyste katalogi, doskonała obsługa życzliwie nastawionego do młodych czytelników personelu, sprawiały, że we wspomnieniach moich własnych lat uniwersyteckich ta właśnie biblioteka wysuwa się na plan pierwszy jako adres pod którym pracowało mi się najlepiej. Ale, mimo najlepszych intencji, nie mogła ona zastąpić ani normalnej biblioteki wyższej uczelni ani centralnej biblioteki państwowej. Szła zresztą w owym czasie wyraźnie w kierunku ogarnięcia stolicy filiami dzielnicowymi i rozbudowy sieci bibliotek dla dzieci i młodzieży.

Po roku 1918 koncepcja wielkiej biblioteki narodowej stała się naturalnym ogniwiem planów zmierzających do stworzenia instytucji kulturalnych niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania państwa. Sprawa dojrzywała jednak powoli, odsuwana na plan dalszy przeszkodami wynikającymi z konieczności obracania skromnych zasobów finansowych na odbudowę zniszczonych wojennych czy zwalczanie bezrobocia. „Pałac” biblioteczny Dembego miał w sobie tyle cech projektu ponad stan, że trudno było przystąpić do jego realizacji.

Na formalne powołanie do życia Biblioteki Narodowej, jako instytucji samodzielnej, czekać trzeba było do roku 1928, a więc przez pełne dziesięciolecie. Okres ten wypełniły niestrudzone zabiegi Dembego. Rozpoczął je w czasie pracy w Bibliotece Uniwersyteckiej, z której przeszedł w roku 1919 do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, gdzie objął stanowisko kierownika Referatu Bibliotek przekształconego następnie (w roku 1925) w Wydział Bibliotek.

Demby miał już za sobą pokaźny zasób doświadczeń z terenu bibliotek publicznych i samodzielnej pracy w roli księgarza i wydawcy. Już w roku 1904 zorganizował kurs bibliotekarski i sam wygłosił na nim w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa

w Warszawie 20 wykładów. Z jego inicjatywy zaczął wychodzić w roku 1908 *Przegląd Biblioteczny*, pismo naukowe na dobrym poziomie. Raz dostawszy się do Ministerstwa, wytrwale, choć nie zawsze zęcnie, przewycięzał przeszkodę po przeszkodzie. Najważniejszą z nich była oczywista prawda, że w Krakowie i Lwowie istniały wielkie biblioteki o charakterze narodowych księżnic historycznych. Miłośnicy ich i kierownicy protestowali przeciwko tworzeniu z niczego instytucji, będącej w ich ocenie niezdrowym rywalem „Jagiellonki” czy Ossolineum. W sukces przyszy Dembem wydarzenia z zewnątrz i sprawy domagające się natychmiastowego ujęcia w formy prawne.

Jedną z nich był tzw. potocznie „Rapperswil” tj. sprawa „powrotu do Kraju” zbiorów Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu w Szwajcarii. Fundator tej instytucji hr. Władysław Plater zalecił w testamencie przewiezenie do *wolnej* Ojczyzny nagromadzonych na obczyźnie zbiorów, nie precyzując miejsca ich ulokowania. Drugą, nie mniej poważną sprawą było właściwe umieszczenie zbiorów rewindykowanych z Rosji na mocy postanowień Traktatu Ryskiego. Znaczną ich większość stanowiły materiały biblioteczne wywiezione po rozbiorach i powstaniu listopadowym z Warszawy. Obie te sprawy, zasadniczo różne, kryły w sobie te same ładunki uczuciowe. W obu wypadkach wracał do Kraju rozdział historii narodowej otoczony sentymentem kilku pokoleń — dokonywała się sprawiedliwość dziejowa.

Prasa i opinia publiczna domagały się jak najszybszego „powrotu” „Rapperswilu” i jak najspieszniejszego wykonania woli testatora. Orędownikiem najpotężniejszym był aż do zgonu Stefan Żeromski. Zwłokę interpretowano jako nieufność w trwałość i ostateczność odzyskanej świeżo niepodległości. Rewindykacja zbiorów zagrabionych przez Rosję była obowiązkiem jeszcze pilniejszym i oczywistym a przy tym w pełni docenianym przez władze państwowe, które nie szczędziły kosztów i trudu, dając komisjom rewindykacyjnym doskonałe obsady, pomoc biegłych i wszelkie ułatwienia prac. Wiązą się z nimi wielkie nazwiska bibliotekarzy owej epoki: Edwarda Kuntzego, Aleksandra Birkenmajera, Kazimierza Piekarskiego, Piotra Bańkowskiego i wielu innych wytrwałych poszukiwaczy rozproszonego po Rosji polskiego mienia kulturalnego. Świadectwem tych prac są Edwarda Chwalewika „Zbiory polskie” (2 tomy, drugie wyd. w roku 1926-27) i wielotomowe „Dokumenty dotyczące akcji Delegacji Polskich w Komisjach Mieszanych Reewakuacyjnej i Specjalnej w Moskwie” oraz artykuły Piotra Bańkowskiego w „Archeionie”.

W miarę posuwania się prac Komisji ujawniły się trudności natury materialnej, dotyczące właściwego przydziału i pomiesz-

czenia kierowanych do Warszawy (bo gdzieżby indziej!) zbiorów. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że obiekty wywiezione przez Rosjan z Warszawy, a więc przede wszystkim olbrzymie zbiory Załuskich, mogą powrócić tylko tu i to w rozmiarach znacznie większych od uzyskanych w ramach rewindykacji, która dała w ostatecznym rezultacie najwyżej jedną trzecią złupionych skarbów. Demby i sprzyjający mu dostojnicy wyczuli dodatkowe walory tych wydarzeń. Pozwoliły one na wysunięcie na forum publiczne argumentu ubóstwa zbiorów bibliotecznych stolicy odrodzonego Państwa zahamowanych w rozwoju w okresie zaborów. Jako postulat zasadniczej wagi wysuwano konieczność zatrzymania i odpowiedniego pomieszczenia — i to w Warszawie — zarówno lwiej części zbiorów rewindykowanych z Rosji jak i „Rapperswilu”, którego zrab najcenniejszy stanowiły dokumenty dotyczące powstań listopadowego i styczniowego związane najbliżej ze stolicą i byłym zaborem rosyjskim.

Sytuacja wyglądała chwilami groźnie, bo zbiory nadjeżdżały tryumfalnie w ładunkach wagonowych a często nie zapowiadanych z góry, gdyż wypuszczanie ich zależało od fantazji władz sowieckich niechętnie usposobionych do prac komisji rewindykacyjnych. Trzeba było wyładowywać je pośpiesznie i umieszczać w składach tymczasowych uzyskiwanych niejednokrotnie w ostatniej chwili. Postulat jak najszybszego stworzenia Biblioteki Narodowej — XX-wiecznego odpowiednika Książnicy Załuskich — nie wymagał długiego uzasadniania.

Poza argumentami natury sentymentalnej, patriotycznej, historycznej i rzeczowej wystąpił na widownię czynnik nowy, zabarwiony dla odmiany nutą administracyjno-biurokratyczną. Z wielu względów było wskazane gromadzenie całokształtu bieżącej produkcji wydawniczej. Rejestracja jej należała wówczas do kompetencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Interesowało się ono jednak egzemplarzami obowiązkowymi pod kątem potrzeb policji i cenzury i to zarówno politycznej jak i obyczajowej. Ministerstwo to nie mogło i nie było powołane do przechowywania w swoich archiwach owej rosnącej lawinowo produkcji a co więcej nie mogło jej udostępniać ani szerszej publiczności ani naukowcom. Z egzemplarzy obowiązkowych korzystali zasadniczo tylko urzędnicy Ministerstwa (a ściślej Komisariatu Rządu na m.st. Warszawę). Przechowywanie należało w teorii do funkcji centralnej biblioteki państwowej a tej odrodzone państwo nie miało.

Na dobro Stefana Dembego należy zapisać, że wcześniej dostrzegł i tego także cichego sprzymierzeńca i dopominać się zaczął o prawne uregulowanie sprawy dostarczania egzemplarzy

obowiązkowych i rejestracji bibliograficznej bieżącej produkcji wydawniczej krajowej a nadto polonistów zagranicznych. Popierały go w tym wielkie biblioteki uniwersyteckie i regionalne widzące w egzemplarzu obowiązkowym cenne źródło dopływu bezpłatnych nabytków i możliwości prawnego egzekwowania druków regionalnych, na czym im szczególnie zależało. Chodziło także o unifikację i przedłużenie ważności rozporządzeń załatwiających na różne sposoby sprawy kontroli produkcji drukarskiej w różnych zaborach. Dla Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu i bibliotek w b. zaborze rosyjskim miało to znaczenie zasadnicze, bo stały dopływ nowości z egzemplarza obowiązkowego pozwalał na nieco swobodniejsze dysponowanie skromnymi funduszami przeznaczonymi w budżetach na uzupełnianie zbiorów.

Fakt, że Ministerstwo W.R.i O.P. finansowało działalność wyższych uczelni i miało w praktyce decydujący głos w sprawie ich budżetów zarówno personalnych jak i rzeczowych, wywołał potrzebę skupienia spraw bibliotecznych w fachowej komórce specjalnej tego resortu. W powietrzu wisały nadto sprawy opieki nad Ossolineum, Kórnikiem i wieloma innymi bibliotekami naukowymi walczącymi z poważnymi trudnościami finansowymi z powodu dewaluacji dochodów z zapisów. Szczególnej pieczy domagały się placówki powstałe po roku 1918 lub starsze ale stanowiące własność niezasobnych instytucji naukowych w Toruniu, Bydgoszczy, Płocku, Katowicach, Łucku. Demby zabiegał przeto o rozszerzenie zakresu działalności Referatu Bibliotek a pokonawszy przeszkody stał się z referenta naczelnikiem Wydziału Bibliotek (1925). Inicjatorem tego właśnie kierunku działania był przed Dembym zmarły nagle i przedwcześnie w Rydze w roku 1921 dr Józef Korzeniowski, b. kustosz Biblioteki Jagiellońskiej i autor „Zapisków z rękopisów Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu i innych bibliotek petersburskich” (1910) opartych na poszukiwaniach prowadzonych pod egidą Akademii Umiejętności w Krakowie w toku organizowanych przez nią ekspedycji naukowych. Demby współpracował z nim w latach 1919-21 a następnie przejął jego funkcje.

Stefan Demby — twórca Biblioteki Narodowej

Ja sama zetknęłam się z nazwiskiem Stefana Dembego we wczesnym dzieciństwie, gdy rodzice darowali mi na Gwiazdkę opracowane przez niego wypisy patriotyczne pt. „Łany ojczyste”, cieszące się w okresie Pierwszej Wojny Światowej wielką wziętością w Kongresówce i bodaj dwukrotnie przedrukowywane. Wró-

ciłam do nich po latach szukając bezskutecznie klucza do ich niedysyjszych uroków. Z uśmiechem odnalazłam natomiast klucz do osobowości ich kompilatora. Taki był właśnie: solenny, patetyczny, ceniący w wierszu temat i wierność tła historycznego, zawsze gotów do wielkich gestów i łzawych uniesień.

Był Mazurem najczystszej wody. Urodził się 4. VI. 1862 w Łomży jako syn sędziego, Józefa, i Zofii z Aleksandrowiczów. Młodość spędził jednak w Płocku. Tam ukończył rosyjskie gimnazjum i nawiązał przyjaźnię, którym był wierny do grobowej deski. Ukończył Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego, po czym pracował jako nauczyciel prywatnych warszawskich szkół żeńskich a następnie urzędnik kancelarii Dyrekcji Drogi Żelaznej Warszawsko - Wiedeńskiej. Przez osiem lat (1897-1905) próbował sił jako księgarz i wydawca.

Oficjalny życiorys źle oddaje rzeczywiste walory Dembego. Uważany był słusznie za chodzącą encyklopedię wiedzy o „zewnątrznej” historii pozytywizmu i personaliach jego bohaterów. I, choć wygląda to pozornie na niekonsekwencję, równie blisko a nawet bliżej, choćby ze względu na datę urodzenia, związany był z Młodą Polską i jej czołowymi przedstawicielami. Chłubił się przyjaźnią Świętochowskiego, którego syna uczył; ubóstwiał Sienkiewicza, obgadując go zresztą bez litości, zwłaszcza w zaufanym męskim gronie. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej obdarzać entuzjastycznym uznaniem także i Przybyszewskiego, który słabość tę zręcznie eksploatował, gdy Demby występujący w roli wydawcy i mecenasa pisarzy wspierał go „pożyczkami” z żoninych zasobów.

W latach, które pamiętam z własnych obserwacji (1928-39) echem owych młodopolskich ciągotek była przyjaźń z Zenonem Przesmyckim (Miriamem). Innym ich echem była troska o zdo-bywanie do zbiorów bibliotecznych autografów utworów nie tylko wybitnych ale i pomniejszych pisarzy oraz ich puścizn rękopiśmiennych. Dziś brzmi to nieprawdopodobnie ale w okolicy 1930 roku ta właśnie strona działalności Dembego spotykała się ze złośliwą krytyką dużego odłamu bibliotekarzy krakowskich i lwowskich, ceniących tylko i wyłącznie obiekty znacznie starsze. Demby posądzany był przez nich, nie bez ziarna słuszności, o przepłacanie „skarbów” podsuwanych mu przez chciwych spadkobierców czy wreszcie o uprawianie działalności filantropijnej w stosunku do wdów i sierot. Sam tłumaczył się że *per saldo* polityka taka ma rację. Obok zbiorów zakupionych stosunkowo drogo do Biblioteki napływały coraz szerszą falą „okazje” i dary. Zbudowanie przyczółka z zakupów okazało się na dalszą metę

opłacalne. Start miał zresztą szczęśliwy. Wśród nabytków, których pozyskanie wyprzedziło nawet w niektórych wypadkach powstanie Biblioteki Narodowej znalazły się np. zbiory horynieckie książąt Ponińskich, ofiarowane przez sen. Stanisława Karłowskiego aktem z 14. X. 1925. Liczyły 21.952 pozycji, w tym ok. 5.000 druków sprzed 1800 r., pochodzących z księgozbioru księdza Ignacego Polkowskiego. Najstarszym chronologicznie darem były rękopisy dotyczące Józefa Marii Hoene-Wrońskiego ze zbiorów Adolfa Roussela ofiarowane przez Madame Adrienne d'Ory z Béhobie. Innym wczesnym darem była biblioteka Seweryna Smolikowskiego, filozofa, zm. w r. 1920, ofiarowana Państwu przez spadkobierców w roku 1922. Przyszły po nich dalsze np. zbiór wydawnictw z okresu Wielkiej Emigracji z biblioteki Władysława Strzembosza, kustosa Biblioteki Polskiej w Paryżu, przekazany w roku 1927 przez wdowę, wnuczkę Kraszewskiego; część rękopisów Józefa Korzeniowskiego (powieściopisarza); część archiwum Marii Konopnickiej itd.

Gromadzenie rękopisów nowszych i najnowszych nie budzi dziś zastrzeżeń. Ale w owych latach wyrzucano bez skrupułów materiały rękopiśmienne dotyczące współczesności. Nie lepiej obchodzono się z drukami ulotnymi i czasopismami-efemerydami. Luki zbiorów polskich w tym zakresie są katastrofalne także i dlatego, że wypadki polityczne rwały ciągłość publikacji bibliograficznych. Skutki odczuwa każdy komu wypadnie gromadzić pełną dokumentację do dowolnego tematu z przełomu XIX-go i XX-go wieku. Zasluga Korbuta urasta do właściwych rozmiarów na tle tego osobliwego bezhołowia. Do kłeski urasta brak kontynuacji Estreichera, wolne tempo ukazywania się „Polskiego Słownika Biograficznego”, rozproszenie i niekompletność bibliografii historii Polskiej i pamiętników. Demby uświadamiał sobie jasno potrzeby z tej dziedziny. Sam gromadził pilnie tzw. dokumenty życia społecznego i otoczeniu swemu wszczepić potrafił zrozumienie wartości druków pozornie nadających się do kosza na śmieci. Pisząca te słowa zawdzięcza Dembememu, a także autorowi „Bibliografii pamiętników polskich” Edwardowi Maliszewskiemu, zasadnicze „ustawienie” zainteresowań na odcinku, który za naszych czasów nabrał jeszcze większego znaczenia. Ale i na mnie spadały gromy za „zaśmiecanie” Biblioteki Polskiej w Londynie emigracyjnymi ulotkami, afiszami, niekompletnymi czasopismami z Indii czy Australii itp.!

Dziś trudno wyobrazić sobie jak pionierskie były np. prace o pozytywizmie Kazimierza Wóycickiego albo zarysy historii literatury współczesnej Kazimierza Czachowskiego. Albo do jakiego

stopnia niezastąpione były biblioteki Gabriela Korbuta czy Jana Michalskiego!

Demby był antytezą urzędnika-biurokraty, choć, wiele lat życia upłynęło mu przy biurku. Sprawy czysto administracyjne interesowały go mało — był pod tym względem całkowitym zaprzeczeniem swego późniejszego pomocnika i następcy (w Min. W.R. i O.P.) dra Józefa Grycza. Interesowały go natomiast żywo personalia, nie w sensie jednak rzeczowego wniknięcia w dane osobiste i związki ich z działalnością danej jednostki, ale raczej w sensie „kotowskim” — plotki literackiej i opinii współczesnych. Był biegłym znawcą atmosfery Warszawy swoich czasów, świetnie zorientowanym we wzajemnych powiązaniach ludzkich. Fakt, że pochodzi z rodziny związanej od kilku pokoleń z literaturą i dziennikarstwem miał np. zasadnicze znaczenie przy angażowaniu mnie do Biblioteki w okresie, gdy zdobycie jakiegokolwiek umysłowej pracy zarobkowej nie należało do spraw łatwych. Demby wykazał wówczas imponującą znajomość życiorysów mego dziada i wujów. Nikt i nigdy nie wsparł mnie skuteczniejszą protekcją niż ta, którą zawdzięczałam nieżyjącemu już wówczas wujowi Władysławowi Korotyńskiemu, historykowi starej Warszawy!

Niepodobna mówić o jakimś systemie pracy w powszechnie przyjętym sensie, gdy wspomina się „urzędowanie” Dembego. Nie istniały dla niego sztywne godziny pracy ani przyjmowania interesantów. Nie zdarzyło mu się chyba nigdy zjawić w domu na Chmielnej (w okolicy dawnego dworca „Wiedeńskiego”) w porę na obiad. Zdarzało się natomiast krążyć między biurem na Hożej a właśnie Chmielną w towarzystwie Miriama. Obaj w pelerynach — widma minionej epoki — odprowadzali się godzinami zagadani na temat Hoene-Wrońskiego czy Norwida. Byłam kiedyś świadkiem typowej dla nich sceny: Miriam i Demby przystanęli na ważną pogawędkę pod latarnią uliczną. Był to, jak się zdaje, cel codziennych spacerów lokalnego foksteriera. Pies walczył o pole działania. Miriam odpędzał go parasolem. Właściciel psa próbował interweniować, prosząc o zmianę miejsca postoju. Pies szczekał. Obaj panowie z wzgardliwymi minami, wyżsi nad przyziemność, trwali na posterunku. Czas płynął — ale czas się nie liczył!

Demby nie był bibliotekarzem w znaczeniu związanym z pojęciem osoby wykonywującej ten sprecyzowany dziś bardzo wyraźnie i wyznaczony egzaminami fach. Ex-nauczyciel pensji żeńskich z epoki „Emancypantek” i ex-urzędnik dyrekcji kolejowej, będącej przed rokiem 1914 schronieniem inteligentów w b. zaborze

rosyjskim, działacz kulturalno-społeczny cieszący się ogromną popularnością, zręcznie oscylujący między stronnictwami, przekorny ale wierny czytelnik *Kuriera Warszawskiego*, był oświeconym liberałem typowym dla środowiska, w którym się obracał.

Zastanawialiśmy się nieraz w gronie pracowników Biblioteki jak go zakwalifikować. *Prawda* Świętochowskiego i publicystyka pozytywizmu stały niewątpliwie u podstaw jego poglądu na świat: miał np. za złe swemu dawnemu bożyszczu-Swiętochowskiemu, że na starość związał się z pismami Stronnictwa Narodowego. Powtarzał znacząco rzekome jego usprawiedliwienia: „Mieszkałem w kamienicy żydowskiej — powiedzieć miał Świętochowski — i nie stałem się Żydem; drukuję w prasie endeckiej ale jestem nadal sobą”.

W roku 1905 za zorganizowanie strajku urzędników kolejowych i akcję zmierzającą do wprowadzenia języka polskiego do biur kolejowych Demby był przelotnie aresztowany. Sympatie jego stały podówczas po stronie P.P.S., co jednak nie oznaczało trwałszego związania się z którymś z odłamów tej partii. Do końca życia był pod urokiem Andrzeja Struga; powracał wielokrotnie do lektury „Dziejów jednego pocisku”, ale równie często odnawiał znajomość z tekstami Nowaczyńskiego. W ostatnich latach życia niezręcznie i żałośnie lawirował w stronę B.B.W.R. dla dobra, jak sądził, Biblioteki Narodowej.

W stosunku do poglądów otoczenia, a w szczególności pracowników Biblioteki, wykazywał daleko idącą tolerancję. Nie odstręczały go ani poglądy polityczne ani wyznanie czy pochodzenie klasowe pracowników. Interesował go raczej region, z którego pochodzili; szkoły, do których uczęszczali; związki pokrewieństwa czy przyjaźni z osobistościami ze świata literackiego czy teatralnego. Konkretnie pamiętam życzliwość okazaną koleżance spodziewającej się nieślubnego dziecka albo współczucie dla innej, której mąż-komunista odsiadywał karę w więzieniu.

Sam pisał mało i z widocznym trudem, przepisując i przerabiając teksty wielokrotnie. Czuł się pewnie opracowując bibliografie i gromadząc materiały życiorysowe. Ale i w tym zakresie ogłosił niewiele.

Był bibliofilem wysokiej klasy. Dał temu wyraz w szkicu „O miłości ksiąg w Polsce” (1925). Staranna szata graficzna wydawnictw Biblioteki to w dużym stopniu jego zasługa.

Wyglądem przypominał Sienkiewicza czy Antoniego Osuchowskiego. Siwa bródka w szpic, staroświeckie okulary w złotej oprawie, czarna marynarka, nieskazitelnie czysty i nakrochmalony kołnierzyk, popielaty krawat, starannie zaprasowane spodnie

„sztuczkowe”, dobrze wyczyszczone obuwie, widoczna dbałość o dokładne ogolenie, lekki zapach wody kolońskiej Johann-Maria Farina — składały się na tzw. dobrą prezencję.

Był reliktem *fin-de-siècle'u* oszczędzonym przez wypadki Pierwszej Wojny Światowej. W zaciszu gabinetu ukrywał w głębokich szufladach biurka frywolne druki i ryciny. Echem tych zamiłowań, dzielonych zresztą z wieloma pisarzami, była zakupiona w Niemczech i trzymana pod kluczem kolekcja eroticów. Sąsiadowały z nią Norwidiana i rękopisy Hoene-Wrońskiego! Coś podobnego zdarzyć się mogło równie dobrze Miriamowi, z którym łączył go sposób opowiadania, skłonność do dygresji i podobne objawy *improductivité slave*, czemu na pozór przeczyła imponująca erudycja.

Poznałam Dembego w okresie pracy nad rozprawą magisterską o Tymonie Zaborowskim, zapomnianym poecie preromantycznym. Niemal spod ziemi wydobył stertę jego listów do przyjaciela, dając mi w beztróskim prezencie podbudowę przyszłej książki o „Wieszczu Miodoboru”. Byłam jedną z niezliczonych osób, którym przyszedł z pomocą podobnie uczynnie i od niechcenia. Sam niezdolny do metodycznej pracy naukowej, rozumiał potrzeby innych i potrafił skutecznie „podprowadzać”, by użyć jego własnego określenia. Wiele zawdzięczał mu Kazimierz Wóycicki, historyk pozytywizmu Zygmunt Szweykowski (w pracach nad Prusem), Stanisław Helsztyński i Maxime Herman (w pracach nad Przybyszewskim), Zygmunt Lubicz Zaleski i wielu innych.

Demby — w tym kryła się cicha tragedia, którą przeżywał boleśnie — uważał się nie tyle za bibliotekarza i organizatora życia naukowego, ile za polonistę godnego katedry uniwersyteckiej. Dlatego ciężko przeżył uruchomienie w Krakowie pracowni „Polskiego Słownika Biograficznego” pod egidą Polskiej Akademii Umiejętności. W głębokim jego przekonaniu była to praca zbędna, raz już przez niego wykonana. Nie chciał przekazać zebranych przez siebie, ilościowo zresztą pokaźnych, materiałów Akademii, która czyniła w tym kierunku pewne zabiegi. Cierpiał. Przecież jednak trzeba lojalnie, że udostępniał nadal chętnie zebrane przez siebie dane współpracownikom Słownika. Przy takiej właśnie okazji spotkałam go po raz ostatni. Przejście na emeryturę przeżywał ciężko. Postarzały i zgorzkniały trwał w gabinecie na Chmielnej, zobojętniały na sprawy bieżące, nieufnie słuchający nowin z Biblioteki. Było to w lecie 1939 roku. Zmarł 10 listopada 1939. Zbiory jego, w tym cenne Sienkiewicziana, spłonęły w roku 1944. Pozostała Biblioteka Narodowa, wyłania-

jąca się po raz drugi z chaosu i jak w okresie narodzin — bezdomna.

Wczesne lata Biblioteki Narodowej

Biblioteka Narodowa wyłaniała się opornie z chaosu lat 1920-tych, gdy ostro rysowały się różnice dzielnicowe: inne szkoły myślenia, przyzwyczajenia i ambicje. Były zabór austriacki wnosił najlepsze doświadczenia administracyjne a nadto najstarsze i ciągłe tradycje uniwersyteckie. Warszawa tworzyła dopiero własną wszechnicę. We wczesnej fazie istnienia opierała się ona na gronie wybitnych profesorów, ale widoczne ich wpływy obejmowały w praktyce nieliczne grona studentów, którzy wyróżnić się zdołali na tłumnych proseminariach. Poziom ogólny był raczej niezadawalający i to właśnie wyzyskiwali niechętni Warszawie „galileusze”. Dodać do tego należy kwitnący w b. zaborze austriackim kult tytułów naukowych i urzędniczych i związane z nim poczucie dystansu a może i wyższości ujawniane przy każdej okazji w stosunku do „pseudo-uczonych” warszawskich, nie mogących się wykazać stopniami naukowymi i członkostwem bodaj komisji Polskiej Akademii Umiejętności. A był to los m.in. Dembego, zaledwie kandydata nauk prawnych Uniwersytetu Warszawskiego, z okresu oczywiście rosyjskiego, co istotnie nie oznaczało wiele.

Kraków i Lwów dysponowały bibliotekarskimi kadrami fachowymi, które w nowych warunkach okazały się nie tylko wystarczające ale nawet zbyt liczne, zwłaszcza gdy prace rewizyjne, absorbujące pokaźne grono naukowców, zaczęły dobiegać końca. Intencje stworzenia w Warszawie centralnej instytucji bibliotecznej powitano tam co najmniej niechętnie, jako jeszcze jeden zakus łakomej Warszawy — i to Warszawy aspirującej do roli ponad siły, gdyż nie dysponowała ani zbiorami „na poziomie” ani kadrami odpowiednio przygotowanych pracowników bibliotecznych.

Względy praktyczne i rzeczywiste potrzeby rozpatrywane pod kątem rosnących zapotrzebowań stolicy zwyciężyły w ostatecznym rezultacie. Pewną rolę odegrać w tym mogła obietnica traktowania sprawy budowy gmachu Biblioteki Jagiellońskiej jako Nr 1 — dotrzymana zresztą lojalnie. W roku 1939 budowa obecnego gmachu dobiegała końca a ironia losu sprawiła że wykończono go podczas okupacji.

Przez długie lata toczyła się jednak jawnie i za kulisami ostra dyskusja o zakres działania a nawet nazwę Biblioteki Narodowej.

Terenami starć były m.in. zjazdy, w szczególności II-gi Zjazd Bibliofilów w roku 1926 i I-szy Zjazd Bibliotekarzy Polskich w 1928 roku.

Rząd popierający koncepcję warszawską niejako z urzędu wypowiedział wreszcie decydujące słowo: na rzecz Biblioteki Narodowej przekazano 2.000.000 zł. z pozostałości Skarbu Narodowego a 24. II. 1928 ukazało się w *Dzienniku Ustaw* rozporządzenie Prezydenta R.P. powołujące do istnienia Bibliotekę Narodową. *Pięćdziesiąt lat temu.*

Ponieważ koszty gmachu obliczano na sumę znacznie wyższą, bo 7.500.000 zł., owe dwa miliony pochłonęło rozwiązanie tymczasowe. Wypłacono je mianowicie Wyższej Szkole Handlowej (W.S.H.), przemianowanej wkrótce potem na Szkołę Główną Handlową, w zamian za wydzierżawienie znacznej części zaplanowanego na wyrost gmachu bibliotecznego przy ul. Rakowieckiej 6. Oznaczało to, jak sądzono, chwilową tylko rezygnację z planów budowy własnego gmachu, pod który przewidziana była wówczas piękna działka w bliskim sąsiedztwie Belwederu u zbiegu Bagateli i Alei Ujazdowskich, gdzie — równie tymczasowo — urządzono istniejący do wybuchu wojny ogródek jordanowski dla dzieci.

Było to, jak słusznie określił Marek Skwarnicki, posunięcie o charakterze kardynalnego błędu i odczuwanych do dziś skutkach. Przez pół wieku Biblioteka pracowała bez własnego dachu nad głową zręcznie wymanewrowywana przez kolejne ośrodki decyzji przy stałym akompaniamencie obietnic i zapewnień doceniania ważności sprawy. Oznacza to skandalicznie długi okres szkodliwego dla rozwoju instytucji prowizorium.



W czerwcu 1928 roku, gdy zaczynałam pracować w Bibliotece, „centrala” jej, bardzo jeszcze symboliczna, mieściła się przy ul. Hożej 88, a zbiory rozrzucone były, doprowadzonym do swoistej perfekcji systemem kukułczym, po wszelkich dostępnych lokalach, które Demby z talentem fakira wyszukiwał w przepętnionej Warszawie. Poszczególne kolekcje ulokowane były przeto: w Bibliotece Publicznej na Koszykowej, Uniwersyteckiej na Krakowskim Przedmieściu (część rękopisów rewindykowanych z Rosji), Centralnej Bibliotece Wojskowej w gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich (zbiory rapperswilskie), budynku przy ul. Przemysłowej 25 (czasopisma bieżące) a nawet w różnych lokalach Min. W.R. i O.P., którego gmach w Alei Szucha wchodził właśnie w ostatnie stadia budowy.

Na Hożej 88, w budynku, mieszczącym szkoły zawodowe i biura, ulokowany był wówczas Departament Nauki i Szkół Wyższych Min. W.R. i O.P. Tu właśnie urzędował Demby.

Miał ładny i widny gabinet, obstawiony mahoniowymi, od góry oszklonymi szafami, w których mieściły się zasadniczo rękopisy ze zbiorów J. I. Kraszewskiego a przejściowo różne nowe nabytki. Pokój miał kształt podłużny. Biurko stało ukosem przy oknie. Miało nadbudowę podzieloną na liczne przegródki, kipiące od wycinków, biletów wizytowych, kopert itp. Na górnej półce stała doniczka z małą palmą o delikatnym listowiu. Hodowano ich wiele w Warszawie w owych latach. Demby nazywał ją palmetką i co dzień stukał w doniczkę, sprawdzając czy roślina jest dostatecznie podlana. Biurko zawałone było stosami papierów, do reguły należało załatwianie części najnowszej. Co pewien czas odbywały się gorączkowe poszukiwania ważnych a przedawnionych listów czy rachunków. Pomagał Dembemu młody jego sekretarz Czesław Gutry, śmiertelnie wystraszony i ogromnie swą rolą przejęty. Poprzednikiem jego, którego już na Hożej nie zastałam, był dr Leon Śliwiński, historyk, który przeszedł z Ministerstwa do dyrekcji Funduszu Kultury Narodowej, gdzie do wybuchu wojny był prawą ręką dyr. Stanisława Michalskiego. Zginął tragicznie w 1944 roku od kuli hitlerowskiej na Mokotowie.

W głębi gabinetu Dembego stał mały „salonowy” stolik, który pełnił rolę pra-czytelni Biblioteki Narodowej. Tam właśnie udostępniane były na gorąco nowe nabytki albo szczególnie cenne rękopisy. Działo się to w godzinach urzędowania dyr. Dembego, który siedząc obok za biurkiem przyjmował interesantów. Pamiętam, że niektórzy byli bardzo stropieni obecnością czytelnika i to robiącego notatki i, *nolens volens*, przysłuchującego się prośbom o posady, zachwalaniu kandydatów lub pertraktacjom w sprawach zakupu książek lub rękopisów.



Najwcześniej zaangażowany personel Biblioteki pracował kątem w Bibliotece Uniwersyteckiej; było to w latach 1926-28, gdy nie pracowałam jeszcze w Narodowej. Pamiętam jedną tylko pracowniczkę — Jankę Rutkowską (później Clarotti, mieszkającą obecnie w Rzymie). Kilka osób pracowało na Koszykowej, porządkując zbiory Seweryna Smolikowskiego, złożone tam jeszcze w 1922 a składające się głównie z dzieł historycznych i prawniczych. Była to jednocześnie namiastka szkoły bibliotekarskiej, gdyż dobry i doświadczony personel tej instytucji, kie-

rowanej przez Faustyna Czerwijowskiego, kształcił praktycznie nowicjuszy z Narodowej.

Do owej najstarszej grupy należała Hanna Pliszczyńska, Anna Ulatowska (później Wandalinowa Puciatowa, po roku 1945 pracująca do emerytury w Bibliotece Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie), Maria Bartczakówna (później prof. Bogdanowa Suchodolska — po roku 1945 w Muzeum Narodowym w Warszawie), Halina Rogulska, Helena Łukaszewska, Janina Radziśewska, Józefa Maliszewska (później Piotrowa Jastrzębska), Krystyna Piątkowska, Irmina Szwanderówna (później Leonowa Śliwińska, zm. w 1966), Izabela Grużewska (później Marianowa Toporowska), Janina Zawistowska, Kazimierz Osmólski i (chyba) Antoni Stolarski i Tadeusz Burakowski.

Ton nadawała Hanka Ulatowska, „królewska wnuka”, wnuczka żony Dembego, pani Leontyny, która miała córkę z pierwszego małżeństwa. I ona, i Marysia Bartczakówna, obie bardzo urodziwe, miały za sobą świeżo ukończone studia historyczne u prof. Handelsmana i skupiały wokół siebie liczne grono kolegów i koleżanek, przenosząc do Biblioteki atmosferę seminarium uniwersyteckiego. W tym kontekście upamiętnił mi się późniejszy prof. Stanisław Arnold, prof. Tadeusz Manteuffel i jego siostra Maria.

W przygotowaniu tego zespołu do pracy bibliotecznej zasłużył się bardzo personel biura katalogowego Biblioteki Publicznej a zwłaszcza Wiktoria Muklanowiczówna i Janina Peszyńska a także kierowniczka biblioteki podręcznej Mira Wilczyńska, osoba wielkiej erudycji, w złotych lokach i staroświeckim kołnierzu koronkowym, jakby wyjęta ze starego portretu. To środowisko, w szczątkowym kształcie, dotrwało do powstania warszawskiego i posłużyło Marii Dąbrowskiej do odmalowania Biblioteki Publicznej w „Przygodach człowieka myślącego”.

Opiekun tego zespołu „Dembaków” (bo tak ich powszechnie zwano) Faustyn Czerwijowski (1873-1944) był postacią jakby wyjętą z powieści Struga czy Żeromskiego. Urodzony na Podolu, wyleciał z wilczym biletem z 6-tej klasy gimnazjum rosyjskiego w Kamieńcu Podolskim, wylądował na kilka lat w Dąbrowie Górniczej, naprzód jako uczeń Szkoły Górniczej, potem działacz robotniczy, członek SDKP i PPS. Przez kilkanaście lat nielegalnej egzystencji zmieniał wielokrotnie miejsca nie tyle zamieszkania ile czasowych pobytów, przeobrażając się z górnika czy hutnika w tokarza, to znów administratora majątków na Podolu, co łączył z organizowaniem tajnych kompletów szkolnych. W roku 1901-2 pracował jako zecer w drukarni „Przedświtu”

(PPS) w Londynie, a w roku 1904 w tajnej drukarni w Rydze. Działalność bibliotekarską, która stała się właściwym jego polem działania, rozpoczął późno i skromnie jako kierownik Wypożyczalni Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności na ul. Ciepłej, uwiecznionej przez Żeromskiego w „Ludziach bezdomnych”. Było to w roku 1906, gdy miał już 33 lata i nieskończony zasób doświadczeń z najróżniejszych środowisk polskich i obcych. Wykształcenie uzupełnił samouctwem i krótkimi, intensywnymi studiami w Szkole Nauk Politycznych w Paryżu. Pobyt w Anglii wyzyskał na zapoznanie się z nowoczesną organizacją bibliotek publicznych przeżywających tam właśnie złoty okres. W bliskiej współpracy ze Stanisławem Michalskim wypracował plany reorganizacji warszawskich księgozbiorów publicznych i stworzył podstawy Biblioteki Publicznej mieszczącej się naprzód na Rysiej a następnie przeniesionej do ufundowanego przez Eugenię Kierbedziową własnego gmachu na Koszykowej.

Dziś, po kilkudziesięciu latach pracy w bezdomnych bibliotekach, dobrze rozumiem czym było dla Czerwijowskiego objęcie w posiadanie budynku wznoszonego z myślą o potrzebach określonego typu biblioteki, przyciągającego jak magnes czytelników. On sam jako dyrektor Biblioteki Publicznej był i wszechobecny i niewidzialny, bo nie narzucał swych zaleceń, ale dyskutował, radził i zawsze stawiał na swoim, zostawiając pracownikom szeroki margines swobody i możliwość wykazania inicjatywy. Krótki nawet okres spędzony w jego zasięgu miał decydujący wpływ na stosunek młodych bibliotekarzy do ich przyszłego zawodu. Nie nasuwa się tu jednak porównanie do np. „Reduty” i Osterwy, bo Czerwijowski trzymał się ziemi a za najlepsze formy organizacji uważał „niewidoczne”: „Biblioteka musi iść sama” — bo jest logicznym, konsekwentnie uformowanym organizmem. Musi mieć dopływ właściwych książek, te zaś muszą być oprawione, skatalogowane, sklasyfikowane, łatwo dostępne — a ciąg dalszy dyktować będą czytelnicy. Miał wysoki szacunek dla tzw. nauk pomocniczych: bibliografii, biografistyki itp. — nazywał je „naukami służebnymi”. (I tu dygresja: terminu tego użyłam w sensie pozytywnym w recenzji pracy bibliograficznej wydanej na Emigracji; autor był bardzo dotknięty takim zakwalifikowaniem jego pracy!).

Przypomnienie Czerwijowskiego w kontekście Biblioteki Narodowej ma podwójny sens: 1) odegrał wielką rolę jako inspirator Dembego i wychowawca wczesnych pracowników, 2) kolejami własnego życia ilustruje różnice między szkolonymi w b. zaborze austriackim bibliotekarzami a warszawskimi samoukami spod znaku Żeromskiego zastępującymi teorię praktyką pracy społecz-

nej. Konflikt z okresu narodzin Biblioteki Narodowej był starciem tych dwu postaw.

Formalnie nie należeli do personelu Biblioteki Publicznej prof. Helena Radlińska i prof. Jan Muszkowski. Byli oni jednak związani z Dembym długimi latami wspólnej pracy społecznej i mieli ogromny wpływ na kształtowanie się atmosfery charakterystycznej dla wczesnego okresu działalności Biblioteki Narodowej.



Pierwszą niemal autonomiczną placówką Biblioteki była redakcja „Urzędowego Wykazu Druków” ukazujących się na obszarze Rzeczypospolitej, mieszcząca się początkowo w sąsiadującym z gabinetem Dembego pokoju-poczekalni na Hożej. Był to początek Instytutu Bibliograficznego. Tam właśnie zaczynałam pracę w czerwcu 1928 na rok przed uzyskaniem stopnia „magistra filozofii w zakresie filologii polskiej”. Zjawiłam się do pracy przejęta i przestraszona w pikowej bluzce, która po pierwszej godzinie mojej zawodowej działalności straciła olśniewającą białość a w domu wywołała okrzyki zgrozy. Pierwsza posada w życiu, pierwsze regularne zarobki! Miałam za sobą amatorskie przeszkolenie z biblioteki wujów Korotyńskich a wyniesiona przy tej okazji znajomość Varsavianów bardzo mi się potem przydała przy katalogowaniu zbiorów Aleksandra Kraushara. Coś nie coś dała mi praca w bibliotece szkolnej w gimnazjum im. M. Konopnickiej we Włocławku. Najwięcej pomógł mi jednak kurs bibliotekarski, urządzony staraniem Związku Bibliotekarzy Polskich w Bibliotece Publicznej wiosną 1928 roku. Wiązał się on z początkami Poradni Bibliotecznej (Marszałkowska 69), placówki o olbrzymim wpływie na rozwój Bibliotek Publicznych w przedwojennej Polsce. Kierowana przez Wandę Dąbrowską i Eugenię Malinowską poradnia ta wydawała listy książek zaleconych do bibliotek, udzielała fachowych porad, opracowywała i rozpowszechniała znormalizowane druki biblioteczne, regulaminy itp., pomagała organizować kursy, wykłady, odczyty itp., przygotowując grunt pod Ustawę Biblioteczną. Na terenie Poradni spotykałam Marię Dąbrowską i Jerzego Zawieyskiego.

Kurs dał mi wiele, jeśli idzie o zasadnicze przygotowanie do przyszłej pracy zawodowej. Dlatego pamiętam tak dobrze nazwiska większości wykładowców. Oznaczają one zresztą całe rozdziały historii bibliotekarstwa polskiego: Jan Muszkowski, Helena Radlińska, Faustyn Czerwijowski, Wanda Dąbrowska, Wiktoria Muklanowiczówna, Eugenia Malinowska, Mira Wilczyńska. Kurs prowadziła Jadwiga Filipkowska-Szemplińska, która

na krótko przed tym wróciła z rocznego pobytu w Paryżu i pełna była francuskich i amerykańskich nowinek.



W początkach pracy w Bibliotece Narodowej byłam przydzielona do biura rejestracji egzemplarza obowiązkowego, napływającego lawinowo na mocy niedawnych rozporządzeń. Kierowniczką biura była Jadwiga Dąbrowska, późniejsza wieloletnia redaktorka „Urzędowego Wykazu Druków” a po roku 1945 „Przewodnika Bibliograficznego”. Szkoliła ona pośpiesznie surowy i przypadkowo dobrany personel — a nadto zecerów z Drukarni Technicznej, w której drukowało się pismo. Wiązała się z tym potrzeba dostosowania linotypów do skomplikowanego systemu znaków diakrytycznych i nawiasów.

Pracowaliśmy od 8-ej rano do 3-ej po południu, co pozwalało na łączenie zajęć zarobkowych ze studiami. Miało to zły wpływ na terminy egzaminów, ale w praktyce było realnym wyjściem z sytuacji.

Dąbrowska potrafiła w zaskakująco krótkim czasie przekształcać nowicjuszy w dobrych albo poprawnych bibliografów. Najlepszym tego świadectwem jest późniejsza kariera Władysławy Borkowskiej, współautorki znormalizowanych przepisów katalogowania.

Sama Jadwiga Dąbrowska miała doskonałe przygotowanie z Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu, gdzie pracowała pod kierunkiem Edwarda Kuntzega, późniejszego dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej, i Jana Muszkowskiego, dyrektora Biblioteki Ordynacji Krasieńskich, w której pracowała przy kontynuacji bibliografii Estreichera za lata 1900-1928. Nie tracąc łączności z Muszkowskim wypracowała, po krótkim okresie eksperymentowania, podstawowy model opisu bibliograficznego, stosowany z drobnymi ulepszeniami do dziś. Nie bez emocji śledziłam około 1950 roku w Londynie początki „British National Bibliography”. Przepowiadać byłam w stanie bez pudła, co wypadnie odrzucić lub zmienić, przypominając sobie pionierski okres prac na Hożej.

Dąbrowską poznałam gdy miała trzydzieści kilka lat. Uważała się za pozbawioną praw do życia osobistego po tragicznej śmierci narzeczonego. W dożywotniej półżałobie, ascetycznie skromna, poświęciła się bez reszty pracy nad bibliografią, uznawszy to za cel życia. Mieszkała w sąsiedztwie prehistorycznej administracji *Wiadomości Literackich* i tam, na Boduena czy Jasnej pokazała mi Grydzewskiego. Już wcześniej znałam z widzenia jego psa. Ona sama była i będzie dla mnie zawsze uoso-

bieniem tajemniczych atrakcji zawodu bibliotekarskiego. Potrafiła narzucać nam potrzebę systematyczności i akuratności sprzeczną z naturalnymi instynktami ludzkimi, rozbudzała podejrzliwość nakazującą sprawdzanie wątpliwości, zamieniała nudne i monotonne prace nad opisami broszur czy przekładów w rozwiązywanie pasjonujących zagadek, przekonywująco ukazywała sens pracy i jej głębsze socjologiczne aspekty. Zanim sprecyzowane zostały zadania dokumentacji bibliograficznej, zrozumiała jej potrzebę, wyprzedzając o dziesiątki lat wskazania formułowane pracowicie do dziś na kongresach międzynarodowych.

Obsadę Instytutu Bibliograficznego stanowiło szybko rosnące w liczbę grono pracowników rekrutujących się albo z „Dembaków” z Koszykowej albo, jak ja, zaangażowanych prosto z ław uniwersyteckich z nieukończonymi jeszcze studiami. Kształciła nas pośpiesznie Dąbrowska wdrażając metody opisu bibliograficznego, korekty itp. Gwiazdami tego zespołu były koleżanki już otrzaskane z pracą w Bibliotece Publicznej lub Uniwersyteckiej: Władysława Borkowska, Izabela Grużewska, Irmina Szwanderówna, Józefa Maliszewska, Jadwiga Miecznikowska, Hanna Nowakowska oraz Tadeusz Burakowski, Kazimierz Osmólski i Antoni Stolarski. Za mojej pamięci dołączyły się Maria Święcka-Sokorska i Janina Troicka. Stan zespołu był płynny, przerzucano nas do innych prac w miarę potrzeby. Od początku obsługiwać musieliśmy także Dział Czasopism na dalekiej Przemysłowej.

Poza brakiem przygotowania fachowego wyrastały co chwila trudności natury technicznej wynikające z ciasnoty, braku maszyn do pisania, nieznamomości języków mniejszości narodowych itp. Dziw, że w warunkach tak trudnych, gdzie „improwizacja zastępowała organizację”, prace Instytutu ruszyły szybko z miejsca — i szły już dalej bez większych wstrząsów i zmian aż do września 1939.

W owym początkowym okresie główną udręką były kłopoty z ogarnięciem całości produkcji wydawniczej. Na podstawie polskiej ustawy o egzemplarzu obowiązkowym nadsyłać go miały do bibliotek drukarnie a nie wydawcy jak to się dzieje np. w Anglii.

Rok był 1928. Drukarnie nie były własnością państwową a kontrola nad nimi ograniczała się do luźnych rozporządzeń Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W znacznej większości były to małe i średnie firmy prywatne związane z lokalnymi pismami i wykonujące tzw. druki akcydensowe (afisze, klepsydry, kalendarze itp.); produkcja druków zwartych odbywała się dorywczo, na marginesie stałych robót dochodowych. Aby uzyskać egzemplarze obowiązkowe trzeba je było „odkryć”, bo nie istniały żadne

ich katalogi czy spisy. W akcji tej pomagało Bibliotece Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, władze miejskie i samorządowe, wreszcie biblioteki regionalne, dobrze znające swój teren działania. Wysyłałiśmy upomnienia a w razie braku odpowiedzi pisa- liśmy po raz drugi i trzeci („z groźbą kary”). Przesyłało nam wtedy na odczepnego, co tylko pod rękę drukarza się nawinęło, włącznie z biletami na imprezy cyrkowe, a nawet torebkami z adresami sklepów „kolonialnych” i ogłoszeniami pralni.

Tzw. „dokumenty życia społecznego” a więc np. odezwy partii politycznych (a ileż ich wtedy było!) nasuwały najwięcej problemów ze zdobyciem i katalogowaniem. Występowało to naj- drastycznie w okresach wyborów do Sejmu, gdy prześcigano się w fabrykowaniu ulotek i odezw powtarzających niemal identyczne teksty w wykonaniu różnych drukarni i w odniesieniu do róż- nych kandydatów. We wczesnym okresie radosnej twórczości bibliograficznej traktowaliśmy je, na równi z książkami, jako indywidualne jednostki bibliograficzne i opisywaliśmy szczegó- łowo, podając początkowe słowa (*incipit*) i końcowe (*explicit*). Stąd olbrzymia ilość pozycji w pierwszym roczniku „Urzędowego Wykazu Druków”, nasuwająca zniekształcony obraz ruchu wy- dawniczego, sugerujący jego rozkwit.

Rzeczywistość odślaniały statystyki przygotowywane w poro- zumieniu z Głównym Urzędem Statystycznym, w którym opieko- wała się tymi sprawami Jadwiga Bornsteinowa. Dane potrzebne do obliczeń oznaczane były przy pomocy symbolów na dużych kartach katalogowych. Szły one później na nowoczesne maszyny a wyniki publikowano dwojako: we własnym wydawnictwie Biblioteki i w *Roczniku Statystycznym*.

W owej masie egzemplarzy obowiązkowych kryły się „nor- malne” wydawnictwa książkowe. Skutki wojny i kryzysów eko- nomicznych ciążyły w widoczny sposób na jakości produkcji i wysokości nakładów. Kasa im. Mianowskiego i towarzystwa naukowe walczyły z brakiem funduszy. Nieco lepiej przedsta- wiała się sytuacja Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie i Książnicy-Atlas we Lwowie. W zakresie literatury pięknej działali: Gebeth- ner i Wolff, Mortkowicz, „Biblioteka Polska” Władysława Koś- cielskiego, poznańska Księgarnia św. Wojciecha, warszawski „Rój” Kisterów, Wydawnictwo R. Wegnera w Poznaniu, Kra- kowska Spółka Wydawnicza i zapomniany dziś warszawski Wende. Rozkręcały się dopiero wielkie przedsięwzięcia Trzaski, Everta i Michalskiego, firmy lansującej wydawanie dzieł encyklo- pedycznych w formie zeszytów rozsyłanych subskrybentom. Już wtedy firma Drukarni Narodowej w Krakowie była gwarancją

starannego wykonania druku. Zbliżały się do jej poziomu m.in. Tłocznia Władysława Łazarskiego w Warszawie, Drukarnia św. Wojciecha w Poznaniu, krakowski Anczyc i niektóre warszawskie drukarnie „handlowe” np. „Jan Cotty” i Drukarnia Techniczna. Pewną osobliwością były druki statystyczne drukowane na prowincji w bydgoskiej drukarni „Biblioteki Polskiej” Kościelskiego i u Mejlachowicza w Grodnie.

Poza materiałami w języku polskim napływały do Instytutu Bibliograficznego olbrzymie ilości druków w językach mniejszości narodowych. Wywołało to potrzebę opracowania zasad transliteracji. Znalazły one kształt ostateczny w instrukcji katalogowej opracowanej przez Józefa Grycza. Ambicją jego było umożliwienie powrotu do pisowni oryginału drogą mechanicznych podstawień. Przy opracowywaniu tablic transliteracyjnych wyzyskano doświadczenia Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie i lwowskiego Ossolineum, odwołując się nadto do pomocy specjalistów np. prof. Stanisława Słońskiego. Na szczególną uwagę zasługuje wycieniowanie różnic nie tylko między językiem rosyjskim a ukraińskim, ale nadto między różnymi pisowniami stosowanymi w drukach białoruskich.

Duże kłopoty nastęrczała sprawa transliteracji druków hebrajskich i żydowskich (*yiddish*). Rozwiązano ją bardzo pomyślnie dzięki pomocy Edwarda Poznańskiego, późniejszego profesora Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Zorganizował on w Bibliotece Narodowej warsztat pracy, wykrystalizował zasady transliteracji i z ogromnym zapałem prowadził niemal do wybuchu wojny rejestrację polskich judaiców. Pomagał mu nieśmiały, stale się rumieniący młodzieniec (Rybak?), którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, bo potocznie nazywaliśmy go biblijnym Jakubem.

Innym trudnym problemem były czasopisma, wydawnictwa seryjne i odbitki z czasopism. „Urzędowy Wykaz Druków” ograniczał się do publikowania opisów dotyczących nowych tytułów, zmian a także informacji dotyczących ostatnich numerów czasopism, które przestały się ukazywać („trupów”). W planach i przygotowaniu był specjalny tom bibliografii z opisami wszystkich ukazujących się w R.P. wydawnictw periodycznych. Opublikowanie go odkładano z roku na rok z powodu szczupłości personelu i trudności budżetowych. Nie ukazał się, niestety, co dotąd daje się we znaki historykom okresu międzywojennego.

Dział Czasopism mieścił się naprzód na Przemysłowej 25. Pracowałam tam dorywczo w okresie zastępstw wakacyjnych, by zapoznać się i z tym działem Biblioteki. I to przydało mi się później, w Londynie. Pozostała mi po tym okresie pamięć tzw.

mutacji *Ilustrowanego Kuriera Codziennego* i monotony poziom dyskusji polityczno-społecznych toczonej przez Kazimierza Osmólskiego i Tadeusza Burakowskiego.



W roku 1930 mówiło się o rychłych przenosinach do nowej siedziby a wszelkie inne rozwiązania przyjmowano jako warianty przedprzeprawkowej przechowalni. Zbiory narastały w tempie zawrotnym, znanym dobrze ogółowi bibliotekarzy, których wiernym towarzyszem jest ciasnota i obmyślanie miejsca na dodatkowe półki.

Rakowiecka 6 — pierwszy adres Biblioteki Narodowej

Na „tymczasem”, na krótko, trzeba było zadowolić się pomieszczeniami cudzymi, na zasadach egzystencji sublokatorskiej. Trzy główne adresy tego podzielonego królestwa określano jako: „Rakowiecką”, „Rapperswil” i „Krakowskie”. Aż dziw, jak duży wpływ miała swoista atmosfera tych w praktyce autonomicznych jednostek na ładunek wspomnień nagromadzonych w dziesięcioleciu przedwojennym! Los chciał, że wypadło mi pracować we wszystkich tych działach, choć główną moją specjalnością było katalogowanie rękopisów nowszych. Krążyłam, zależnie od potrzeby, między „Rapperswilem” a „Rakowiecką” aż wreszcie przydzielono mnie do Działu Rękopisów na „Krakowskim”.

Owe trzy adresy nasuwają przypuszczenie, że zbiory Biblioteki uległy rozbiciu w innej niż w okresie początkowym kombinacji lokalowej. Wbrew logice był to w rzeczywistości poważny krok naprzód w kierunku scalania zbiorów, bo w toku przenoszenia kolekcji dokonano wielu czynności umożliwiających podjęcie normalnych prac rejestracyjnych i katalogowych. Tak np. pod jednym dachem znalazły się druki zwarte i czasopisma napływające z tytułu egzemplarzy obowiązkowych, co ułatwiło ich ewidencję i reklamacje a drukarzom dało jeden adres wysyłek. Zbiory specjalne (starodruki, mapy, grafika, muzykalia itp.) znalazły się w centrum miasta w pobliżu Uniwersytetu i Biblioteki Ordynacji Krasieńskich, co ułatwiało konsultowanie wzajemne katalogów i księgozbiorów podręcznych.

Najgorzej, wobec dokuczliwej ciasnoty, układały się warunki pracy na Rakowieckiej, gdzie półki zapełniały się, jak mawiał

jeden z magazynierów „biegiem”. Warunki pracy były tam trudne a większość pracowników skazana była na dalekie dojazdy tramwajem Nr 3. Błędem było ulokowanie na przedmieściu Dyrekcji Biblioteki i głównej czytelnicy.

Wspominałam już wcześniej o powodach umieszczenia części zbiorów na Rakowieckiej, w tylnym gmachu Szkoły Głównej Handlowej. Stał on tuż przy granicy ówczesnego lotniska na Polu Mokotowskim. W czasie pracy dawały się dotkliwie we znaki samoloty startujące w pobliżu i często-gęsto ćwiczenia w strzelaniu z działek obrony przeciwlotniczej. Tak byłam z nimi osłuchana, że w czasie praktycznego zastosowania artylerii p/1 w latach wojennych w Londynie, pierwszą moją reakcją było że to tylko ćwiczenia jak w przedwojennej Warszawie. Dwukrotnie, z okien magazynów bibliotecznych obserwowałam akrobacje lotnicze, które skończyły się tragicznie. I to było swoistym przygotowaniem do wojny: już w roku 1936 czy 1937 widziałam jak wygląda samolot płonący z załogą i walący się na trawę lotniska szkielet srebrnej maszyny. Dla odmiany bywaliśmy bezpłatnymi widzami pokazów lotniczych i niezmiernie efektownych zawodów balonów wolnych o puchar Gordon-Bennetta zdobywany przez kilka kolejnych lat przez pilotów polskich Z. Burzyńskiego i F. Hynka.

Gmachy Szkoły Głównej Handlowej projektował stryj Witkacego, Jan Koszyc-Witkiewicz a tablica pamiątkowa przy wejściu do gmachu głosiła, że to on „uzdajał”. Znajomość budynków nasuwa przypuszczenie, że ryzykowność koncepcji artystycznych nie była w rodzinie zjawiskiem odosobnionym.

Gmach frontowy od Rakowieckiej mieścił większość sal wykładowych i biur uczelni. Do „naszego” tylnego budynku bibliotecznego prowadził chodnik wzdłuż placów początkowo niezabudowanych a następnie pokrywających się domami profesorskimi dobrze zgranymi z wcześniejszą zabudową. Po obu stronach chodnika, na wąskich rabatach, kwitły latem silnie pachnące róże sztampowe, jedna radość dla oczu. W sąsiedztwie, na poletkach eksperymentalnych Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego krzewiły się tysiące „rasowych” bratków a korty tenisowe kusiły widokiem białych sylwetek graczy. Przeciwieństwem tych sielankowych widoków były szare gromadki kobiet czekających z paczuszkami i tobołkami pod bramą więzienia mokotowskiego *vis-à-vis* wejścia do uczelni.

„Trójka”, która dowoziła nas do tego punktu, jechała jeszcze o przystanek dalej i długo odpoczywała na pętli przed Szkołą Gospodarstwa Wiejskiego, nim nabrała sił do powrotnej jazdy Rakowiecką, Puławską, wokół Pl. Unii Lubelskiej (z pomnikiem

Lotnika), Marszałkowską przez Plac Zbawiciela, koło Dworca Wiedeńskiego aż do Ogrodu Saskiego i Królewskiej — i dalej Królewską — i właśnie na następnym zakręcie, przy wjeździe na Krakowskie Przedmieście był drugi „nasz” przystanek biblioteczny o kilkadziesiąt kroków od Pałacu Potockich, naszego adresu bibliotecznego Nr 2.



Na Rakowieckiej wewnątrz zajmowanej przez „Narodową” części budynku było przedziwnie nieskładne z tego niewątpliwie powodu, iż przy podziale zostaliśmy odcięci od głównej klatki schodowej, co skazywało na posługiwanie się poślednimi arteriami komunikacyjnymi w postaci wąskich żelaznych schodów, kręconych, śliskich i niewygodnych. Czuliśmy się ubogimi krewnymi w stosunku do „handlowców”. Ich część gmachu była zdecydowanie reprezentacyjna. Na parterze brały początek szerokie monumentalne schody wiodące naprzód do toalet, dorównujących rozmiarami i artystyczną koncepcją rozplanowania analogicznym pomieszczeniom w lizbońskim Muzeum Gulbenkiana. Tyle że w Portugalii marmury — a u nas jasne drzewo (sosna? dąb? jesion?) ujęte przy podłogach w czarne okładziny. Sercem gmachu była gigantyczna czytelnia wsparta lasem podobnie obudowanych drzewem kolumn — a świecąca pustkami, bo studenci wyraźnie od niej stronili. Meble projektowane z myślą o jednolitym charakterze wewnątrz wykonane były z tych samych gatunków drzewa, jasne — i równie estetyczne jak niewygodne. Boy, siadłszy raz na czytelnianym krześle-zydlu, ze łzą w oku wspominał słynne ołtarzowe kreacje Wyspiańskiego z krakowskiej jadalni. Teoretycy, którym łasy na nowinki Witkiewicz lekkomyślnie uwierzył, podsunęli mu szatański pomysł oszklenia magazynów i pracowni bibliotecznych niebieskimi mrożonymi szybami. Nie widziało się przez nie ani drzew ani żadnych szczegółów pejzażu. My — dla odmiany — wyglądaliśmy jak mary piekielne a po wyjściu z gmachu przez zażawione oczy widzieliśmy świat na różowo. Druki, a w szczególności gazety, którym owe niebieskie szyby miały zapewnić żywot wieczny, płowiąły w normalnym a może nawet przyśpieszonym tempie...

Parter mieścił biura dyrekcji, sekretariat, Instytut Bibliograficzny i pracownię introligatorsko-konserwatorską (na dwu poziomach). W czeluściach ciągnęły się magazyny czasopism; w oddzielnym ciasnym pomieszczeniu ukryte było Biuro Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw. Olbrzymie pierwsze piętro wypełniały w całości magazyny (z biurkami pracowników pod oknami). W najbezpieczniejszej części wydzielono tzw. „skarb-

czyk”, tak pojemny że zmieściły się w nim w całości rękopisy rewindykowane z Rosji i duża szafa ogniotrwała na najcenniejsze obiekty. Były w niej przechowywane Kazania Świętokrzyskie, Psalterz Floriański (w woreczku z przepysznego zamszu), iluminowane rękopisy pergaminowe a z nowszych m.in. autograf „Balladyny”, traktat o koniach arabskich Emira Rzewuskiego, rękopisy kilkunastu utworów Wyspiańskiego w charakterystycznych oprawach z szarego płótna lnianego z wytłoczonym na okładce monogramem „SW”. Na wąskich stołach po prawej stronie od wejścia leżały wielkie graduały, w tym pochodzący z kościoła św. Katarzyny w Krakowie, *show-piece* Biblioteki. W tylnej części „skarbczyka” ustawione były pudła z „Tekami Dąbrowskiego” kryjącymi archiwum Legionów. Wywiezione po roku 1831 ze zbiorami Towarzystwa Przyjaciół Nauk powróciły do Warszawy na mocy postanowień Traktatu Ryskiego. Przez dłuższy czas klucze od tego sanktuarium powierzone były mojej opiece, co uważałam za dowód szczególnego zaufania moich szefów.

Na drugim piętrze podzielono dość niefortunie długą i wąską salę na pracownię katalogową i czytelnię naukową obstawioną księgozbiorem podręcznym żmudnie zestawianym przez Hannę Puciatową. Jeszcze wyżej strome schodki prowadziły do sali, w której Kazimierz Piekarski wyczarował replikę wilanowskiej sali bibliotecznej. Były tam ustawione cenne zbiory Stanisława Potockiego, piękne foliały w wymyślnych francuskich oprawach. Przejście od nowoczesnych magazynów i wejście o zdecydowanie „kuchennym” wyglądzie kontrastowało osobliwie ze wspaniałością zbiorów. Dziwoląg ten był symbolem prowizoryczności siedziby Biblioteki Narodowej i jej dziwacznej sytuacji.

Bibliotekarze na kierowniczych stanowiskach

W roku 1934 Demby uzyskał po długich staraniach tytuł dyrektora. Do daty tej był formalnie naczelnikiem Wydziału Bibliotek w Ministerstwie W.R. i O.P. Formalnie — bo tylko *ad personam*, od daty 14. IX. 1928, gdy Wydział zredukowany został do Referatu Bibliotek Państwowych przy Wydziale Nauki.

W okresie przenoszenia zbiorów na Rakowiecką, w roku 1930, zdecydowano się wreszcie na przydzielenie Dembemu pomocy w postaci poważnej siły fachowej. Wybór padł na przedstawiciela dotychczasowej opozycji krakowskiej — dra Józefa Grycza, wówczas 40-letniego, łączącego zalety dobrego praktyka i teoretyka. Miał on za sobą, poza wiedeńskim doktoratem z germanistyki, dłuższy okres pracy w Bibliotece Jagiellońskiej i dwa lata

dyrektury Biblioteki Kórnickiej, którą zreorganizował i unowocześnił. W pracach tych pomagali mu: Stanisław Bodniak (późniejszy dyr. Biblioteki Kórnickiej) i Kazimierz Piekarski, który opracował w owym czasie katalog obejmujący polonica XVI-wieczne z tamtejszych zbiorów.

Nazwisko Grycza jest dziś nieodłącznie związane z bohater-skim rozdziałem historii bibliotek warszawskich w czasie Drugiej Wojny Światowej a w szczególności okresem Powstania Warszawskiego i ratowaniem zbiorów w okresie zimy 1944/45 r. Nic nie zapowiadało w nim bohatera: niepokąźny, tragicznie zniekształcony garbem, o miłej spokojnej twarzy z bystro patrzącymi jasnymi oczyma, zaczynał warszawski rozdział pracy zawodowej w warunkach niezmiernie trudnych. Jako postulat Nr 1 narzucała się potrzeba unaukowania metod pracy i reorganizacji referatu bibliotek naukowych prowadzonego przez Dembego z zapałem, ale po amatorsku. Wprowadzanie zmian wymagało taktu i powolnego oswajania nieco despotycznego starca z koniecznością reform. Przybysz z Krakowa znalazł się w nowych warunkach pracy w raczej niechętnie usposobionym do niego środowisku. Był to jednak uparty i świadomy celów Słazak, cierpliwy i konsekwentny w działaniu. Z dystansu czasu lepiej występuje szybkie w ostatecznym wyniku tempo jego pracy.

Problemem najważniejszym i najpilniejszym wydała się Gryczowi sprawa doszkolenia kadr bibliotekarskich. Poświęcił jej wiele miejsca w broszurze o Bibliotece Narodowej, rysującej schemat organizacyjny jaśniej sprecyzowany od pierwotnych koncepcji Dembego. Działalność utrudniał mu fakt, że funkcje jego w ministerstwie były przez dłuższy czas określone bardzo mgliście. Oficjalnie był radcą do spraw bibliotecznych na gruzach Wydziału Bibliotek, o którego restytuowanie walczył równie wytrwale jak nieskutecznie Związek Bibliotekarzy Polskich. W zamysłach Grycza reorganizacja winna doprowadzić do stworzenia Dyrekcji Bibliotek, skupiającej prace nad organizacją wielkiej sieci bibliotek naukowych i publicznych. Z myślą o przyszłości opracował programy egzaminów kwalifikacyjnych na stanowiska I i II kategorii w państwowej służbie bibliotekarskiej. Należałam do pierwszej grupy egzaminowanych. Stawiano nam wymagania bardzo wysokie a w braku podręczników polskich sięgać trzeba było po Milkau'a *Handbuch der Bibliothekswissenschaft*, nad którym spędziłam wiele ciężkich godzin obłożona słownikami. Przydało się w późniejszej pracy i w Polsce i w Anglii, zwłaszcza przy egzaminach na stopień A.L.A. (*Associate of the Library Association*).

Drugim, równie istotnym problemem była potrzeba jednolitej

instrukcji katalogowej. Gdy wreszcie wyłoniła się z gmatwaniny projektów i ulepszeń — związane z nią na długie lata nazwiska Józefa Grycza i Władysławy Borkowskiej (z Instytutu Bibliograficznego).

Przez dłuższy czas Demby i Grycz krążyli między ministerstwem a Rakowiecką. Z czasem pojawił się na Rakowieckiej w charakterze wicedyrektora dr Marian Łodyński, były dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej, emerytowany pułkownik, z wykształcenia historyk, czynny działacz Związku Bibliotekarzy Polskich.

Do września 1939 pracowałam w bliskim kontakcie z Łodyńskim przede wszystkim na terenie Związku, w którym on pełnił z zapałem funkcję urzędującego wiceprezesa Rady Związku a ja sekretarza generalnego. Ponieważ *gros* spraw koncentrowało się w Warszawie a przewodniczącymi i członkami zarządu byli bibliotekarze mieszkający poza stolicą (Edward Kuntze, Adam Łysakowski, Aleksander Birkenmajer, Eustachy Gaberle, Jan Baumgart i in.), Łodyński kierował *de facto* Radą, a praca ta wypełniła cały rozdział jego życia i była okazją do szeroko pojętych prób realizacji marzeń o lepszej przyszłości bibliotek. Roił się nam (bo i mnie narzucił tę wizję) olbrzymi, wspaniale rozbudowany Związek, mający głos w sprawach kwalifikacji zawodowych i skali wynagrodzeń, których poziom odstraszał wówczas od zawodu bibliotekarskiego aktywniejsze jednostki. Roiły się mu ustawy regulujące zakres pracy sieci bibliotek naukowych i publicznych. Lansowały je odpowiedzialnie koła zawodowe, ponosząc klęskę po klęsce. Byliśmy o krok od ustawy. Gdybyż przynajmniej w ostatniej chwili uchwalono ją, jak Konstytucję 3 Maja, bodaj w przeddzień Września! Pozostałoby przynajmniej świadectwo upartej walki o unormowanie stosunków bibliotecznych i troski o rozwój czytelnictwa masowego! Widomym znakiem naszych poczynań była działalność Poradni Bibliotecznej, kierowanej umiejętnie i z ogromnym poświęceniem przez Wandę Dąbrowską, jeszcze jedną jasną i piękną postać przedwojennego świata bibliotekarskiego, która i po wojnie, do śmierci, służyła wiernie sprawom czytelnictwa.

Innym przedsięwzięciem pochłaniającym wiele prac przygotowawczych była lansowana przez Radę Związku sprawa podręcznika bibliotekarskiego a raczej dwu jego odmian: dla bibliotekarzy naukowych i oświatowych. W opracowywaniu projektów takich podręczników brali udział liczni członkowie Związku (Łysakowski, Muszkowski, Grycz). Dalszym polem działalności było żmudne nawiązywanie kontaktów ze związkami bibliotekarzy za granicą i Federacją Związków Bibliotekarzy, w której represen-

towali nas na wielu konferencjach prof. Muszkowski i prof. Aleksander Birkenmajer, obaj dobrze znani i cenieni przez kolegów zagranicznych.

Wielka wystawa światowa w Paryżu w 1937 roku nasunęła nam sposobność wystąpienia na szerszą skalę. Stoisko przygotowane przez Związek Bibliotekarzy uzyskało wysokie odznaczenia. W moich osobistych papierach dochowało się zaświadczenie o przyznaniu mi złotego medalu za organizowanie naszej ekspozycji. Pamiątką tej imprezy jest wydana po francusku broszura informacyjna pt. *Les bibliothèques polonaises, par Joseph Grycz, édité à d'occasion de l'Exposition Internationale des Arts et Techniques* (Warszawa, 1937, 35 str.). Publikacja ta była mi wielką pomocą przy opracowywaniu analogicznych broszur polskiej i angielskiej, wydanych w czasie wojny w Londynie i St. Andrews. Nie mogłam wówczas podkreślać jej znaczenia jako źródła, by nie narazić autora broszury działającego w okupowanej Warszawie (w stałym kontakcie z Londynem).

Łodyński wyładowywał swą energię i talenty organizacyjne w Radzie Związku, jakby szukając w tym rekompensaty porażek na innych odcinkach działalności. Z Centralnej Biblioteki Wojskowej odszedł przedwcześnie, zostawiając następcy, majorowi Janowi Niezgodzie, znakomicie zorganizowany warsztat pracy i sieć naukowych bibliotek wojskowych przy D.O.K. w całym kraju. Był parokrotnie poważnym kandydatem na stanowiska kierownicze i nieodmiennie ponosił porażki. Przegrał pojedynek z Dembym, ominęły go dyrektury na prowincji. Nigdy nie dano mu sposobności ujawnienia w pełni uzdolnień administracyjnych i wielkiej wiedzy fachowej zdobytej w Krakowie i w czasie dłuższej podróży naukowej do bibliotek berlińskich, drezdeńskich i paryskich. Nazwisko jego związane jest jednak trwale z historią bibliotek polskich, bo właśnie on zwrócił uwagę przed rokiem 1939 na doniosłość posunięć Komisji Edukacji Narodowej w zakresie bibliotek i naukowo opracował działalność pionierów bibliotekarstwa powszechnego w rozprawie pt. „U kolebki polskiej polityki bibliotecznej (1774-1795)”, wydanej w 1935 roku a uzupełnionej po wojnie w pracy pt. „Wpływ wytycznych Komisji Edukacji Narodowej na państwową politykę biblioteczną Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego (1807-1831)”.

Opus magnum Łodyńskiego stanowi wydany w czterech tomach w latach 1961-1968 przez Bibliotekę Narodową pod egidą Instytutu Geografii P.A.N. „Centralny katalog zbiorów kartograficznych w Polsce”, obejmujący katalogi atlasów i dzieł geograficznych wydanych w latach 1482-1945, znajdujących się w zbiorach polskich. Łodyński był inicjatorem i głównym realizatorem

tego wielkiego przedsięwzięcia. Wstępem do niego było zorganizowanie Kursu Kartograficznego i przeszkolenie grupy współpracowników, kontynuujących obecnie prace rejestracyjne w Instytucie Geografii. Łodyński zmarł w Warszawie w 1972, nie ukończywszy pisania bardzo ciekawie zapowiadającego się pamiętnika, z którego dochował się tylko początek.



Wcześniej znalazłam się w bezpośrednim zasięgu wpływów zarówno Łodyńskiego jak i prof. Stefana Vrtel-Wierczyńskiego, który w połowie 1937 roku został następcą Dembego.

Wierczyński był niemal kompletnym przeciwieństwem energicznego, skłonnego do pobierania zasadniczych decyzji Pułkownika.

Był zawsze czynny — ale nie śpieszył się nigdy. Mówiono, że tę szczególnie rzadką u Polaków cechę charakteru odziedziczył po przodkach czeskich, Vrtelach z żydaczowskiego powiatu w dawnym województwie stanisławowskim. Gdy zetknęłam się z nim po raz pierwszy na terenie Związku Bibliotekarzy Polskich — ta właśnie cecha: pewna powolność działania i skłonność do wahań przed przystąpieniem do akcji uderzyła mnie i zastanowiła. Klócił się z nią pokaźny ilościowo dorobek naukowy Profesora i wszechstronność jego zainteresowań. Bo przecież studenci polonistyki w owych czasach zaznajamiali się z podstawowymi zabytkami języka staropolskiego z doskonale opracowanych wypisów zwanych potocznie „Vrtelem”; młodzi bibliotekarze stający po raz pierwszy przed państwową komisją egzaminacyjną uczyli się historii i teorii bibliografii z podstawowego opracowania tegoż autora. Gdy pisałam pracę magisterską o poecie preromantycznym, Tymonie Zaborowskim, okazało się, że „Klub Piśmienniczy” „mego” autora, wydany był z rękopisu także przez Vrtela (w *Lamusie*) a gdy wreszcie uporałam się z pracą i gdy ukazała się drukiem nie kto inny ale prof. Vrtel-Wierczyński był jej rzeczowym i życzliwym recenzentem na łamach *Pamiętnika Literackiego*.

W roku 1957, gdy w początkach „odwilży” manifestacyjnie przyznano naukową nagrodę miasta Poznania „honorowemu Wielkopolaninowi”, ex-dyrektorowi Biblioteki Uniwersyteckiej, przedstawiciel *Gazety Poznańskiej* zapytał laureata o najważniejsze formatywne wydarzenie w jego dotychczasowej karierze: „Dzień 1 lutego 1906 roku” — odpowiedział bez wahania zapytany — „w owym dniu pamiętnym dla mnie rozpocząłem pracę w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie”.

We Lwowie. Trzeba bowiem pamiętać, że prof. Wierczyński związany z Uniwersytetem Poznańskim długimi okresami pracy (1927-1937 i 1948-1960) a dyrekturą Biblioteki Narodowej z Warszawą, przeżył młodość i połowę życia w kręgu spraw Ossolineum, Biblioteki Uniwersyteckiej i samego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Urodzony w Hanowcach w woj. stanisławowskim (w roku 1886) w okolicach Stryja, studiował polonistykę pod kierunkiem prof. Bruchnalskiego a następnie osiadł we Lwowie na kilkanaście lat pracy nauczycielskiej i bibliotekarskiej. Tam także habilitował się naprzód z nauk pomocniczych literatury a następnie historii literatury polskiej ze szczególnym uwzględnieniem jej związków z literaturą czeską. To ostatnie tłumaczy się jasno: pochodził przecież ze spolszczonej rodziny czeskiej i znał biegle oba języki od dzieciństwa. Dlatego właśnie był szczególnie powołany do badania początków polszczyzny i wpływu na nią języka czeskich sąsiadów.

Trzy były wielkie zakresy jego rozległej działalności: literatura staropolska, teoria bibliografii i praktyczne jej zastosowania, bibliotekarstwo. Osiągnął wiele na wszystkich tych odcinkach. Był znakomitym wydawcą tekstów staropolskich, wiernym i przezornym opiekunem podstawowych zabytków, które od zniszczenia wojennego uchronił a wreszcie doskonałym ich komentatorem i znawcą. W dorobku jego z tego zakresu wyróżnia się obszerna rozprawa o „Staropolskiej legendzie o św. Aleksym na porównawczym tle literatur słowiańskich” (1937). Na kilka tygodni przed nagłym zgonem dożył dnia swego wielkiego naukowego tryumfu: ukazały się właśnie „Średniowieczne legendy wierszowane” w królewskiej szacie graficznej, jego własny wkład i hołd milenijny. Nie dożył ukazania się innego jego dzieła — siódmego tomu „Bibliografii Literackiej” wzorowo opracowanej w kierowanej przez niego do ostatka Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich w Poznaniu.

Sprawdzianem zdolności organizatorskich prof. Wierczyńskiego były lata pracy w Bibliotece Narodowej, gdy objął trudną placówkę w niespokojnym przedwojennym okresie. Było to w roku 1937, gdy zasadniczo pracowałam w Dziale Rękopisów, odrywana stamtąd do urządzania wystaw itp. Dyr. Wierczyński „wypożyczył” mnie na Rakowiecką naprzód do opracowania sprawozdania rocznego Biblioteki a następnie powierzył mi kierownictwo Działu Uzupełniania Zbiorów, w którym zastała mnie wojna.

Biblioteka rozrzucona po cudzych gmachach, uzyskująca dopiero podstawy prawne, dysponująca niedostatecznymi fundusza-

mi i personelem, nastęczała na każdym kroku trudne do rozwiązania problemy, była labiryntem, po którym z trudem poruszali się starzy jej pracownicy. Profesor, nowicjusz na warszawskim gruncie, rozkręcał się powoli, po lwowsku trochę zanadto solenny, trochę — jak wydawało mi się zrazu — biurokrata. Po kilku miesiącach uświadomiłam sobie nagle, że każde z powolnych posunięć miało sens, każda decyzja głęboką dalekosiężną rację.

Trudno być w wyższym stopniu uczniem i naśladowcą mistrza, jak ja jestem w stosunku do prof. Wierczyńskiego. Nawet w trudnych warunkach korespondencji powojennej, w najgorszych latach stalinowskich, radziłam się go w sprawach dotyczących gromadzenia materiałów bibliograficznych. Nie mogłam podziękować mu oficjalnie w przedmowie do pierwszego tomu „Bibliografii” Zabielskiej — a na podziękowanie takie zasłużył w pełni! Radziłam się go do ostatka. Na kilka tygodni przed śmiercią rozpiął się szeroko w najostatniejszym liście na temat dręczących mnie właśnie technicznych wątpliwości bibliograficznych.

Ten wielki i wszechstronny uczony nie uznawał ułatwień, kompromisów, odkładania na później, półfabrykatów. „Dawał szkołę” studentom i personelowi. On, tak łagodny i wyrozumiały na ludzkie słabości, darować nie mógł błędu w opisie bibliograficznym czy korekcie drukarskiej.

W życiu długim i pozornie spokojnym miał okresy poważnych trudności wywołanych „gorliwością” entuzjastów reżymu komunistycznego — „nowej rzeczywistości”. Rezultatem jej była dymisja prof. Wierczyńskiego ze stanowiska dyrektora Biblioteki Narodowej i przeniesienie, na krótko, do Poznania do tamtejszej księżnicy uniwersyteckiej. Może i bolały go owe chytrze wymierzane despekty — kto wie. Jasne jest jednak, że gdy tylko otrząsnął się z pierwszego wrażenia na nowo budować zaczynał i dalej już tak swoim czasem i talentami gospodarował, by dać z siebie jak najwięcej i na kilku odcinkach. Przez długie lata będą wzorem „dobrej roboty” jego edycje tekstów staropolskich i znakomite metodycznie teksty do ćwiczeń edytorskich oparte o autografy Wielkiej Improwizacji Mickiewicza, wiersza „Do autora trzech psalmów” Słowackiego i innych.

Był człowiekiem niezwykle skromności i uczynności, wiernym i niezawodnym przyjacielem. Mówił z silnym lwowskim akcentem, nosił się starannie, po profesorsku, odpowiadał na listy z nieznaną ogółowi rodaków akuracją. Dwa lata przepracowane pod jego kierunkiem uważam za okres przygotowania do samodzielnej pracy i prawdziwego wtajemniczenia w arkana zawodu.

Lata wzrostu Biblioteki

Biblioteka rozwijała się szybko. W Instytucie Bibliograficznym uległ poważnej rozbudowie dział statystyki druków, ulepszone metody gromadzenia materiałów do opisów bibliograficznych poloników zagranicznych, zapowiadano wydanie rejestracji czasopism. Opornie posuwało się natomiast katalogowanie zbioru tzw. druków nowszych, choć w skład personelu wchodziło kilka bibliotekarek z doskonałą praktyką z Biblioteki Publicznej. Główne zahamowania wiązały się z czekaniem na ukończenie prac nad instrukcją umożliwiającą unifikowanie istniejących już katalogów poszczególnych kolekcji. Niemałe trudności nastęrczała skomplikowana procedura włączania książek do księgozbioru, polegająca: a) na wciąganiu ich do księgi nowych nabytków (tzw. „akcesji” ilustrującej narastanie zbiorów i proveniencji poszczególnych egzemplarzy), b) wpisywaniu do ksiąg inwentarzowych powtarzających większość danych z „akcesji” w bardziej wypracowanej formie z określeniem lokaty poszczególnych egzemplarzy, klasyfikacji, danych dotyczących oprawy itp., c) katalogowaniu na luźnych kartkach, których format był dalszym zagadnieniem. Czynności te, nadmiernie rozbudowane w porównaniu z metodami pracy stosowanymi w bibliotekach krajów zachodnioeuropejskich, paraliżowały tempo pracy, od której zresztą stale trzeba było się odrywać w związku z lawinowym napływem dalszych darów. Na rok przed wybuchem wojny, gdy katalogowanie zbiorów rapperswilskich i batignolskich dobiegło do końca, Dział Druków Nowszych objęła energiczna i pełna pomysłów dr Helena Więckowska, co z miejsca przyspieszyło tempo prac. Stało się to jednak zbyt późno na to, by katalog objął poważniejszy procent zbiorów.

Dalszym czynnikiem hamującym była ciasnota pomieszczeń, dająca się szczególnie we znaki w stosunku do rosnących w oczach nabytków z tytułu ustawy o egzemplarzu obowiązkowym. Brzmi to niemal nieprawdopodobnie — ale tak było! Druki z XV-XVIII wieku, rejestrowane w sposób skrócony — ale na gorąco, gdy tylko włączano je do Działu Starych Druków, udostępniane były znacznie szybciej od nowych nabytków z zakresu druków nowszych. Wyjątek stanowiły „księgozbiory w księgozbiorze”, otrzymane ze spisami lub ustawione w sposób ułatwiający łatwą orientację np. alfabetycznie. Dzięki nim można było w wielu wypadkach dotrzeć do książek potrzebnych czytelnikom — wymagało to jednak owej specjalnej znajomości tajemnic bibliotecznych, którą można podziwiać u poszczególnych bibliotekarzy, ale która bynajmniej nie świadczy o dobrym opracowaniu zbiorów.

Moje losy związane były na Rakowieckiej przez dłuższy okres z tzw. „skarbczykiem”, w którym znalazły pomieszczenie rękopisy rewindykowane z Rosji Sowieckiej z b. Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu, znanej obecnie pod nazwą Biblioteki im. Sołtykowa-Szczedrina w Leningradzie, oraz z carskiej Biblioteki Sztabu Głównego, pochodzące z Biblioteki Załuskich, zbiorów Królewskiego Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i skonfiskowanych po rozbiorach albo po powstaniu listopadowym zbiorów prywatnych.

Owe rewindykowane z Rosji rękopisy ustawione były według sygnatur uwidoczniionych na nalepkach na grzbiecie. Rozpoczęły się one od rosyjskiego skrótu języka rękopisu (polski, łaciński, francuski, niemiecki, włoski albo „różnojęzyczny” — w wypadku np. polsko-łacińskich miscellaneów), dalej figurowały cyfry oznaczające miejsce rękopisu na półce. Wszystkie opieczętowane były rosyjską pieczętką z inicjałami „I.B.” (*Impieratorskaja Biblioteka*); na wyklejce tylnej lub ostatnich kartach znajdował się zazwyczaj zapis odręczny, podający w języku rosyjskim informację, że rękopis ten zawiera tyle a tyle kart (słownie). Wyglądały tak do wybuchu wojny, gdyż nie opatrzone ich żadnymi znakami własnościowymi Biblioteki Narodowej w postaci np. *exlibris*’ów lub pieczęci. Gdyby ocalały np. na Śląsku czy w Niemczech, wywiezione a nie spalone na Okólniku, byłoby niezmiernie trudno, nawet Polakom, określić na pierwszy rzut oka, bez znajomości ich historii, iż pochodzą z Warszawy z Biblioteki Narodowej i że tam właśnie wrócić powinny. Trudno pogodzić mi się z myślą, że niemieccy „opiekunowie” zbiorów z okresu okupacji, którzy tyle pracy włożyli w operację scalania najcenniejszych obiektów, nie uchronili przed zniszczeniem przynajmniej najważniejszych rękopisów łacińskich i niemieckich. Łatwo natomiast wyobrazić sobie sowieckiego oficera czy żołnierza, który, odkrywwszy nalepki rosyjskie, „zabezpieczał” je w mniej lub więcej zadawalający sposób. Fakt, że większość rękopisów rewindykowanych z Rosji pochodziła z klasztorów o polskich nazwach miejscowości i że wszystkie rękopisy ze zbiorów Załuskich opatrzone były na pierwszej karcie charakterystycznym znaczkiem i krótkim zapisem ręką Załuskiego, należy do dalszych znaków rozpoznawczych, zrozumiałych jednak tylko dla garstki wtajemniczonych. Sądzę, że dochował się drukowany w Krakowie wykaz sygnatur przekazanych Polsce rękopisów pt. *Sigla codicum manuscriptorum* opracowany przez członków Komisji Rewindykacyjnej, walna pomoc przy identyfikacji.

Zamiar oznaczenia rękopisów *exlibris*’em i „ślepą” tj. tłoczoną pieczętką, nie został niestety zrealizowany. Latami, najdos-

łówniej, toczyły się dyskusje nad systemem i rysunkiem pieczęci, techniką powielenia *exlibris*'ów (w grę wchodziły dziesiątki tysięcy obiektów, co wiązało się z dużymi kosztami). W roku 1935 sprawa dojrzewała do załatwienia. Wtedy jednak umarł Marszałek Piłsudski — i biblioteka została przemianowana na Bibliotekę Narodową Józefa Piłsudskiego (BNJP), co sprawiło, że projektowanie rozpoczęto od początku, i, o ile mnie pamięć nie zawodzi, nie doprowadzono do zwycięskiego końca.



W „skarbczyku” przepracowałam za kilkoma nawrotami wiele tygodni, porządkując rękopisy i przeprowadzając tzw. „szkontrum”, przy czym towarzyszką moją w tym nudnym i żmudnym zajęciu była zazwyczaj Irmina Śliwińska. Sprawdzanie polegało na porównywaniu stanu magazynu ze wspomnianym wyżej wykazem drukowanym, który obejmował jednak więcej, niż nasz stan posiadania, bo część rękopisów przekazana była Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego i innym instytucjom. Miałyśmy także do dyspozycji wykazy zawartości skrzyń i raczej niedokładne kartoteki datujące się z czasów pracy Komisji Rewindykacyjnej. Zwierzchnikiem naszym był dr Piotr Bańkowski, historyk literatury i archiwista, b. członek Komisji Rewindykacyjnej, *homo novus* w świecie bibliotekarskim. Trzymał się od nas na dystans, pogrążony w pracach, do których nie miałyśmy dostępu. Stwarzało to męczącą atmosferę oficjalności, w której zegarek posuwał się powoli a praca stawała się przymusem. Dziś widzę, że dominującą cechą charakteru dra Bańkowskiego była nieśmiałość połączona z ostrożnością w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi. Po roku 1945 opublikował kilka bardzo wartościowych prac na temat archiwaliów dotyczących Stanisława Augusta i dokumentów rodzinnych Mickiewiczów. Przed rokiem 1939 przygotowywał niewątpliwie jakieś większe opracowanie na temat rękopisów rewindykowanych — nie doprowadził go jednak do końca.

Staraliśmy się udostępnić jak najszybciej rękopisy rewindykowane, słusznie przypuszczając, że kryją w sobie możliwości odkryć naukowych. Czytelnicy korzystali z nich na Rakowieckiej w Czytelnii na II pięttrze; było ich niewielu, co między innymi przypisać należało niewygodnej komunikacji ze śródmieściem. Z najdawniejszych upamiętniła mi się grupa młodych (wówczas!) historyków: Stanisław Herbst, Józef Jasnowski, Tadeusz Gostyński, Łukasz Kurdybacha (wspomagany przez żonę, późniejszą pracowniczkę Narodowej), kilku księży. Z rękopisów iluminowanych korzystała systematycznie dr Stanisława Sawicka a

dorywczco ks. Zdzisław Obertyński. Najpilniejszym czytelnikiem był dr Jan Zbigniew Pachowski z Krakowa, gromadzący już wtedy materiały do swej monumentalnej historii Legionów Dąbrowskiego pisanej w oparciu o tzw. „Teki Dąbrowskiego”, przekazane przez Generała do zbiorów Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Pałacu Staszica i z nimi razem wywiezione po roku 1831 do Rosji i tam dołączone do innych poloników historycznych („Collectio autographorum”) w bibliotece carskiego Sztabu Głównego. W tymże czasie, we wczesnych latach trzydziestych z tychże „Tek” korzystał Wacław Berent zafascynowany życiem kulturalnym i przemianami społecznymi i ideowymi początków XIX-go wieku. „Teki” w całości niemal przepadły, prawdopodobnie podpalone przez *Brandkommando*. Ocalało to właśnie: notatki i odpisy dra Pachowskiego i artystyczna wizja bohaterów „Tek” u Berenta.

Rozmiary strat wojennych w tym dziale zbiorów są trudne do wycenienia. Nie zdążyliśmy jeszcze przekopać się przez całość a w Petersburgu i Moskwie korzystali z nich nieliczni tylko uczeni polscy. Odkrycia prof. Brücknera i relacje Józefa Korzeniowskiego były smakowitą zapowiedzią skarbów, ukrytych w glossach, oprawach czy utopionych w nieprzebadanych dostatecznie miscellaneach.

Ilekcio po dłuższych okresach pracy na Krakowskim czy w „Rapperswilu” wracałam na Rakowiecką, uderzało mnie tempo wzrostu zbiorów i zagęszczenie się ich w magazynach już wtedy rozsadzanych ich ilością. Wiem, że w okresie okupacji (na skutek przemieszczeń i komasacji druków nowszych z kilku bibliotek) i po roku 1945 gmach pomieścić musiał jeszcze więcej, że zbiory rozlały się na korytarze i owe reprezentacyjne schody, opanowały wielką salę czytelnianą — i dobrze wyobrazić sobie mogą codzienną walkę moich kolegów bibliotecznycch z cichym, nieustępliwym a bezwzględnyim żywiołem, jakim także mogą być książki.

Personel rósł w takim tempie, że na dorocznych spotkaniach koleżeńskich urządzanych tradycyjnie 28 listopada w rocznicę oficjalnego otwarcia Biblioteki w roku 1932 spotykałam często nowe twarze, młodych nieznanycch bibliotekarzy lub praktykantów czy wreszcie pracowników zatrudnionych ze specjalnych zasiłków Funduszu Pracy. Byli wśród nich: Adolf Rudnicki (znany pisarz), Franciszek Siedlecki (zmarły w czasie okupacji, świetnie zapowiadający się teoretyk literatury), Józef Jasnowski (historyk, obecnie kierownik Centrali Bibliotek Ruchomych w Londynie), Zygmunt Mann, syn mego profesora-romanisty, który pomagał

Mikulskiemu w „Korbutianum” i kilku innych. Obowiązani byli do odpracowywania skromnych zasiłków; w teorii mieli pewne szanse stałego zatrudnienia; zabiegał o to gorliwie Wierczyński.

Z biegiem lat wyłoniła się „stara gwardia” pracowników związanych z Biblioteką od jej początków. Poza „Dembiakami” i wspomnianymi wyżej osobami należał do niej personel kancelarii: Mieczysław Bigoszewski, Piotr Jastrzębski, Tadeusz Makarewicz, Irena Korotyńska (moja siostra cioteczna, później żona prof. Stanisława Herbsta), Zofia Mikulska (z domu Skrzyszewska, żona prof. Tadeusza Mikulskiego), Zofia Jędrzejewska (siostra przyrodnia Irminy Śliwińskiej), Waleria Krauzowa — i więcej nie pamiętam! W kancelarii pracowała (dla Instytutu Bibliograficznego) Maria Sokorska (pierwsza żona Włodzimierza). Podobnie, jak ja, pracował na Rakowieckiej i na Krakowskim na przemian Bohdan Korzeniewski, mój kolega uniwersytecki, teatrolog. Na krótko przed wojną zjawił się w Bibliotece pełen rewolucyjnych pomysłów Ksawery Świerkowski.



Z Rakowiecką związany był znacznie bliżej prof. Bonawentura Lenart, introligator-artysta i liternik, który w Bibliotece Narodowej zorganizował i prowadził pracownię konserwatorską, zajmującą się w pierwszym stadium działalności opracowywaniem wzorców opraw bibliotecznych i zagadnieniami związanymi z konserwacją opraw i papieru. Prof. Lenart był równocześnie wykładowcą Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i dojeżdżającym na cykle wykładów i ćwiczeń profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Ten nadmiar obowiązków, będący smutnym świadectwem braku fachowców, wpłynął paralizująco na tempo prac Lenarta, choć w drobnym ciele entuzjasty i uparciucha kryły się niespożyte siły. Był perfekcjonistą — i to, jak w przytoczonej wyżej historii pieczęci Biblioteki, zwracało się przeciw niemu. Opracowanie modelu doskonałej oprawy poprzedzały doświadczenia z odpornością różnych kolorów i gatunków skóry i papieru na działanie światła i temperatury. Na wyniki czekać trzeba było latami. Dotąd stoi mi przed oczyma okno pracowni ozdobione girlandami skrawków skóry i różnokolorowych próbek papieru. Asystentką prof. Lenarta była w Bibliotece Narodowej Lidia Rumiancewa. Profesor szkolił kilku pracowników a przelotnie pouczał nas wszystkich w czasie niezapomnianych pogawędek w Pracowni. Był nieoceniony jako doradca w sprawach typograficznych związanych z drukiem katalogów wystaw biblio-

tecznych; w sprawach doboru eksponatów wystawowych i ich rozmieszczania itd.

Bliskim sąsiadem prof. Lenarta był na Rakowieckiej Stanisław Piotr Koczorowski, nasz „Paryżanin”, sromotnie pokiereszowany przez kolejkę wilanowską przy przechodzeniu przez tor biegnący wzdłuż ul. Puławskiej. Był to bibliofil wspaniałej klasy, współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki w Paryżu, gdzie przez długie lata przebywał, pełniąc w latach 1920-1930 funkcje kustosa Biblioteki Polskiej przy boku Władysława Mickiewicza. W Bibliotece Narodowej przed rokiem 1939 wyzyskany był niewłaściwie jako kierownik małej, pozbawionej możliwości szerszego rozwoju komórki — Biura Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw. Wysunięto go na to stanowisko ze względu na wielojęzyczność i znajomość bibliotek zagranicznych. Nie towarzyszyło temu jednak ani poparcie finansowe ani przydziały książek nadających się do wymiany. Działalność Biura ograniczała się do prowadzonej na niewielką skalę wymiany wydawnictw naukowych lub finansowanych przez Fundusz Kultury Narodowej; poza zasięgiem Koczorowskiego znajdowała się większość produkcji wydawniczej firmowana przez prywatne placówki, od których książki trzeba było kupować. Biedny „Koczor” niewiele miał w tym okresie do czynienia z książkami, zwłaszcza w sensie bibliofilskim. Dopiero w roku 1938, po odejściu dra Adama Lewaka z „Rapperswilu” do Biblioteki Uniwersyteckiej, doczekał się powrotu na lepiej mu odpowiadające stanowisko kustosa zbiorów rapperswilskich — i tam zaskoczył go wrzesień 1939 roku.

W małym pokoiku wygospodarowanym przez oddzielenie końca korytarza urzędowali kolejno dr Grycz, dr Łodyński a wreszcie na rok przed wojną znalazłam się tam ja z Działem Uzupelnienia Druków i „prawą ręką” w postaci Elżbiety Lutostańskiej-Widerszalowej i często zmieniającymi się pomocnikami, z których najlepiej pamiętam Anielę Bursównę.

Wchodziło się do Biblioteki przez długi korytarz, na którym stał stolik z wykładaną co ranka listą obecności. Urzędowali tam Józef i Melania Kowalczykowie — on zajmował się rozkładaniem czasopism bieżących — ona przyrządzała i roznosiła poranną herbatę, była naszą karmicielką i wsparciem moralnym. Nikt nie był lepiej zorientowany w całości spraw aktualnych Biblioteki i jej pracowników!

Resztę personelu stanowili woźni, których raczej nazwać by wypadało urzędnikami pocztowymi czy magazynierami, bo wypełniali funkcje dalekie od normalnych zajęć pomocniczego personelu biurowego. Wybijał się wśród nich Władysław Pofit,

łącznik między rozrzuconymi adresami Biblioteki i Ministerstwem. Moim częstym pomocnikiem był jego brat, Józef, i Władysław Woźniak. Jak przez mgłę przypominam sobie sylwetki pomocników prof. Lenarta w Pracowni Konserwatorskiej i Stanisława Piotra Koczorowskiego w Biurze Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw.



Przedwojenna „Rakowiecka” z lat 1930-1939 rysuje się w mojej pamięci jako oddzielny rozdział historii Biblioteki Narodowej. Wojna zastała mnie tam w roli „adiunkta w VIII grupie uposażenia stałego” na „stanowisku I kategorii w państwowej służbie bibliotecznej”. Jednym z uroków tego skromnego skądinąd „stanowiska” było prawo do urlopów naukowych. Korzystałam z nich parokrotnie, by gromadzić materiały do historii Liceum Krzemienieckiego w Ossolineum lwowskim i Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Ta forma ułatwiania pracy naukowej bibliotekarzom miała pełną rację bytu i umożliwiła realizację niejednego przedsięwzięcia wydawniczego a nadto stwarzała serdeczne więzy z zasadniczym warsztatem pracy — Biblioteką.

„Rapperswil” w Warszawie

Drugim „adresem” Biblioteki Narodowej była część pomieszczeń Centralnej Biblioteki Wojskowej. Instytucja ta dysponowała obszernym a pustawym lokalem w gmachu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych (GISZ) w Alejach Ujazdowskich 1/3/5 w skrzydle od strony Bagateli. Kierownikiem jej był w latach 1920-tych Marian Łodyński, historyk, który skwapliwie przygarnął zbiory rapperswilskie pod pretekstem, że zawierają one wysoki procent militariów. Druki zwarte i czasopisma włączono do katalogów C.B.W., udostępniając je szybko — z rękopisów stworzono autonomiczną jednostkę z własną Czytelnią i biurami oraz położonym w sąsiedztwie wygodnym magazynem.

Kierownikiem tej wydzielonej placówki był dawny kustosz Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, dr Adam Lewak, historyk. Pracowała tam również dr Helena Więckowska, mająca wyraźnie wyodrębnione funkcje skatalogowania naprzód pewnych zespołów rękopisów rapperswilskich a następnie batignolskich (z Paryża) i archiwum Literary Association of Friends of Poland (z Londynu). W warszawskim „Rapperswilu” pracowało ponadto kilka innych osób. Najlepiej przypominam sobie Kaziemierę Grabowską-Lipską, kierowniczkę Czytelni, Janinę Rojew-

ską-Briesemeister i Krystynę Piątkowską. Pracowała tam również przez pewien czas Irmina Śliwińska i ja. Byłyśmy zatrudnione przy pomocniczych pracach katalogowych i na dyżurach w Czytelni otwartej do godziny 20-tej.

Czytelnia ta była widną i przestronną salką z kilkoma oknami, których parapety zastawione były doniczkami kwiatów i kaktusów. Na prawo od wejścia stało biurko dyżurnego urzędnika a tuż przy nim żelazna szafa zamykana opuszczaną żaluzją. Chowało się do niej rękopisy odkładane na następne dni przez czytelników oraz wypożyczone z innych instytucji.

W przylegającym do Czytelni pokoju mieścił się gabinet Kustosza. Stały tam szafy z niezmiernie cenną kolekcją czasopism z okresu Wielkiej Emigracji, będących podstawowym źródłem do badań nad tym okresem. Na ścianie wisiał widok Rapperswilu od strony jeziora. Tak właśnie zobaczyłam po raz pierwszy Zamek, po wojnie, podjeżdżając od strony Einsiedeln szlakiem Mickiewicza i Odyńca przez Lucernę i Arth-Goldau tamą dzielącą jezioro na Ober- i Untersee.

Przydzielono mnie do „Rapperswilu” w roku 1930, gdy kończono prace nad tomem I-szym katalogu rękopisów. Moim debiutem było zmodernizowanie opisów katalogowych dokumentów z rodzinnego archiwum Kościuszków oraz listów i drobnych autografów samego Naczelnika, głównie z okresu szwajcarskiego. Zbiory te były uporządkowane i bardzo starannie rozmieszczone w obwolutach przez Stefana Żeromskiego. Z tego względu, choć wypadło przegrupować rękopisy, zachowaliśmy w pietyzmem owe obwoluty z racji objaśnień zawartości wypełnionych kaligraficznym pismem autora „Popiołów” z czasów, gdy był pracownikiem Muzeum w Rapperswilu.

Pomagałam ponadto przy sporządzaniu indeksów i korektach; ten mój skromny wkład pracy jest uwidoczniiony w przedmowie do katalogu. W dalszych latach, poza dyżurami w Czytelni i załatwianiem kwerend naukowych, katalogowałam w lokalu „Rapperswilu” rękopisy pochodzące z innych zbiorów. W okresie gromadzenia materiałów do pracy doktorskiej o życiu naukowym Liceum Krzemienieckiego wolno mi było w czasie dyżurów pracować „dla siebie”.

Z „Rapperswilem” łączy mnie także mój debiut naukowy. Dzięki dr. Lewakowi nawiązałam kontakt z redaktorem *Rocznika Wołyńskiego*, Jakubem Hoffmanem, i ogłosiłam w tym piśmie szkic o życiu literackim Krzemieńca w latach 1813-16, pierwszy z wielu przyczynków ogłoszonych w *Roczniku*.

Dotąd trudno mi pisać o zbiorach rapperswilskich bez bolesnego uczucia dotkliwości ich straty. Ani przed tym, ani potem

nie odczuwałam nigdy tak bliskich uczuciowych związków z jakimś określonym zbiorem książek czy rękopisów, choć przeważna część mojej służby bibliotecznej wiązała się z instytucjami emigracyjnymi.

Były to zbiory niezwykle jednolite, cenne, w drobnym tylko stopniu wyzyskane przez uczonych. Emanowała z nich aura najszlachetniejszego patriotyzmu i tragicznego patosu naszych dziejów porozbiorowych. Olbrzymie bloki korespondencji, pamiętniki, dokumenty osobiste, fotografie i pamiątki przybliżyły ludzi sprzed (wówczas) stulecia, ich troski i radości! — nie! chyba tylko troski i zawody. Gdybym pracowała tam dłużej nie oparłabym się na pewno pokusie podjęcia studiów nad jakąś grupą ludzi i spraw wyłaniających się w różnych relacjach i oświetleniach. Zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, Biblioteki Kórnickiej i Muzeum Czartoryskich w Krakowie, razem wzięte, umożliwiają w teorii naukowe opracowania okresu Wielkiej Emigracji nawet po zagładzie Rapperswilu. Występowała tam jednak szczególnie koncentracja jednorodnych materiałów historycznych przybliżająca i działalność „góry” stronnictw politycznych czy rządów emigracyjnych i losy szarych emigrantów. Dziś gdy ulubioną lekturą są pamiętniki, dzienniki, zbiory listów itp. — zbiory rapperswilskie byłyby kopalnią tekstów.

Na przestrzeni stulecia powstała i utrwaliła się w świadomości ogółu legenda Rapperswilu. Stary szwajcarski zamek stał się symbolem wolności a także bezpiecznego schronienia. Był niejako sprawdzianem zaufania jakim świat obdarza Szwajcarię nie tylko na odcinku numerowanych kont bankowych. Odradzające się na naszych oczach Muzeum jest wymownym świadectwem siły tej tradycji i trwałości związków przyjaźni polko-szwajcarskiej.

Dlaczego przeniesiono do Kraju zbiory rapperswilskie, rozbijając je *nota-bene* przy tej okazji na muzealia i bibliotekę? Stało się to w wykonaniu jednoznacznie brzmiącej woli twórcy tej instytucji Władysława hr. Broel-Platera oraz pierwszego składu zarządu w osobach J. I. Kraszewskiego, Agatona Gillera, Stefana Buszczyńskiego i Henryka Bukowskiego. Zarejestrowany przez władze szwajcarskie akt fundacyjny głosił, iż „założone i zorganizowane przez polską emigrację polityczną [Muzeum] jest instytucją emigracyjną” a przy tym „własnością narodu polskiego”. 8 grudnia 1873 roku postanowiono, iż „gdy Polska, jak się spodziewać należy, powstanie i ukonstytuuje się jako naród niezależny, Muzeum ma być oddane jej rządowi narodowemu, o ile takowy dawać będzie gwarancję trwałości”.

Postanowienia te miały pełną wagę i moc obowiązującą. Powołano się na nie w roku 1911, gdy poważnie dyskutowany był projekt przewiezienia zbiorów do Krakowa lub Lwowa. Michał Sokolnicki, sprzeciwiając się tym projektom, dowodził, że Muzeum jest własnością „Narodu Polskiego” a nie emigracji a o losach jego nie może decydować Rada Muzealna (która) „nie posiada prawa przenosić instytucji gdziekolwiek bądź, czy to w Kraju, czy w inne miejsce zagranicą” (cyt. z „Biblioteki Warszawskiej, 1911, str. 117). Jednym z argumentów był fakt, iż w zbiorach znajdowały się „pisma wartości historycznej dużej, zaś takiej treści i z takiego czasu, iż żaden rząd — nawet dzisiejszy czy jutrzejszy austriacki — nie dopuściłby co najmniej udostępniania tych aktów, kompromitujących sprawę jeszcze żywe”. Tło tej wypowiedzi jest dziś jasne: w Rapperswilu przechowywano duże ilości „bibuły” niepodległościowej i wydawnictw antycarskich.

Legalna decyzja przewiezienia zbiorów do Kraju wyjść mogła przeto tylko od władz odrodzonej Polski. Te zaś pomyślały o Rapperswilu wcześniej. Już 21 października 1921 Sejm Ustawodawczy uchwalił na wniosek posła Leonarda Tarnawskiego, adwokata z Przemyśla, członka Rady Muzeum od roku 1903, solenną rezolucję wzywającą do przewiezienia zbiorów do Kraju. Za rezolucją stał autorytet Żeromskiego, żywo zaangażowanego uczciowo w sprawę Rapperswilu.

Prace przygotowawcze trwały do roku 1927. Finałem ich był podpis Piłsudskiego na akcie wykonawczym z 19 marca tego roku. W październiku w 110-tą rocznicę zgonu Kościuszki zbiory wypełniające 14 wagonów towarowych przybyły poprzez Austrię i Czechosłowację do Zebrzydowic. „Stało się to późnym wieczorem” — i jak zapamiętał towarzyszący transportowi Adam Lewak — „tylko robotnicy, pracujący niedaleko od stacji, oraz kolejarze, którzy dowiedzieli się o przejeździe pociągu, przechodzili przez wagon w którym była ustawiona urna z sercem Kościuszki, przyklękali przed nią” i „oddawali hołd Naczelnikowi”. Słowa te nabierają pełnego znaczenia w pamięci tych, co wyrosli w okresie niebywałego nasilenia kultu Kościuszki i obchodów setnej rocznicy jego zgonu w roku 1917.

Przewieziono do Kraju wszystko: zbiory muzealne, archiwum i bibliotekę, liczącą ok. 91.000 tomów i 27.000 jednostek rękopiśmiennych. Podzielono je pomiędzy Muzeum Narodowe i nie istniejącą jeszcze formalnie Bibliotekę Narodową. Wartość poszczególnych działów uległa drastycznej przecenie. W Rapperswilu na plan pierwszy wysuwały się zbiory muzealne; obiektywna ich wartość nie była wielka, choć niewątpliwie układały się

w uczniowo i propagandowo ważki obraz dziejów Polski ze szczególnym naciskiem na walki o niepodległość w XIX-tym wieku.

W Warszawie na plan pierwszy wysunęły się rękopisy ze względu na ich charakter unikatowy i niepowtarzalny. Przybyły do Warszawy nieuporządkowane z ułamkowymi inwentarzami i katalogami. Udostępniono je niesłychanie szybko a korzystający z nich wspomagani byli niepowszednią erudycją i uczynnością kustosza Lewaka. Jego *opus magnum* — i żałosnym potwierdzeniem wielkości strat są trzy sążniste tomy katalogu rękopisów wydane w Warszawie w 1929-1938. Obok rękopisów działem o dużym zastosowaniu doraźnym okazała się grafika i zbiór fotografii. Wystarczy przejrzeć trzytomową „Polskę, jej dzieje i kulturę” Trzaski Everta i Michalskiego, by stwierdzić jak wielki był wkład „Rapperswilu” do zilustrowania tego pomnikowego wydawnictwa. Na trzecim miejscu pod względem użyteczności stały czasopisma, w których zawarł się obraz działalności różnych ugrupowań Wielkiej Emigracji. Jeśli od lat upominam się (bez skutku) o scalenie i skompletowanie czasopism z okresu Drugiej Wojny Światowej i obecnej Emigracji — to jest to praktyczne zastosowanie lekcji Rapperswilu. Na czwartym miejscu wymieniam druki zwarte. Powtórzenia ich znaleźć można w teorii w innych zbiorach — w jakim jednak rozproszeniu!

Podrozdziałem warszawskiego „Rapperswilu” były związane z nim tematycznie, lokalowo i organizacyjnie zbiory batignolskie i Towarzystwa Przyjaciół Polski w Londynie. I one także powstały na obczyźnie z zaleceniem przekazania ich do „oswobodzonej, da Bóg, Ojczyzny” a w Bibliotece Narodowej znalazły się we wczesnym okresie jej istnienia. Opisy katalogowe obu tych kolekcji wypełniły tom III-ci „Katalogu rękopisów Biblioteki Narodowej” (1933). Opracowała go dokładnie i wnikliwie dr Helena Więckowska wzbogacona doświadczeniami z okresu pracy nad dwoma tomami ściśle rapperswilskimi.

O ile losy Rapperswilu są powszechnie znane a obecnie przypominane przez odnowicieli Muzeum, o tyle batignolskie i londyńskie zasługują, jak sądzę, na parę informacji.

U genezy zbiorów batignolskich stoi skromna biblioteczka Szkoły Polskiej Narodowej na Batignolles w Paryżu zainicjowana we wczesnych latach 1840-tych. Względy natury politycznej i spory personalne sprawiły, że niezależnie od Biblioteki Polskiej na Wyspie św. Ludwika w Paryżu powstało kilka poważniejszych księgozbiorów wchłoniętych stopniowo przez Bibliotekę Batignolską. Kośćcem jej były materiały archiwalne dotyczące Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, które po przeniesieniu Centralizacji do Anglii (w roku 1849) po długich pertraktacjach

przekazało swoje archiwum na Batignolles. W roku 1855 znalazła się tam Biblioteka Wersalska, której losy związane są z nazwiskami woj. Antoniego Ostrowskiego i Hipolita Klimaszewskiego. Perłą zbiorów była spuścizna po Lelewelu, jego biblioteka i rękopisy. Po wojnie francusko-pruskiej w roku 1871, gdy Szkoła przeżywała ostry kryzys finansowy, zbiory biblioteczne przejął w formie „zamkniętego depozytu” hr. Jan Działyński i przewiózł do Kórnika, gdzie przeleżały do roku 1929. Na mocy umowy z Ministerstwem W.R.i O.P. podzielono je, zgodnie z testamentem Lelewela, między Warszawę i Wilno. Losy wojenne tych kolekcji potoczyły się tragicznie i osobiwie: część przydzielona Warszawie przepadła wraz z Rapperswilem, „Leleweliana” ocalała w Wilnie w stanie nowego letargu .

Dalszym aneksem „Rapperswilu” było archiwum Literary Association of Friends of Poland w Londynie przekazane przez Ambasadę R.P. po zlikwidowaniu Towarzystwa w roku 1922. Zawierało ono — bo także przepadło w czasie wojny — protokoły posiedzeń z lat 1832-1922 w 7-miu tomach, listy członków, księgi korespondencyjne oraz gromadzone przez Towarzystwo materiały do sprawy polskiej z lat 1844-64. Materiały te wychodziły szeroko poza dochowane w Londynie drukowane sprawozdania Towarzystwa, które urwało działalność po wymarcu emigrantów polistopadowych ok. roku 1880.

Przewiezienie zbiorów rapperswilskich do Kraju, tragiczne w skutkach, powitane było entuzjastycznie przez ogół społeczeństwa a uczonych w szczególności, dało podstawę do wielu prac o charakterze odkrywczym, stało się pobudką do podejmowania szeroko zakrojonych badań i planów, odbiło się w sposób utajony, dostrzegany tylko przez wtajemniczonych, na poziomie wielu wydawnictw np. Polskiego Słownika Biograficznego, z którego redakcją „Rapperswil” współpracował szczególnie blisko. W Szwajcarii korzystano ze zbiorów dorywczo i niesystematycznie, wyzyskując jedynie ich fragmenty, gdyż skatalogowane były tylko częściowo i raczej po amatorsku.

Ogromną zasługą Lewaka i Więckowskiej było bardzo szybkie opracowanie stosunkowo szczegółowych katalogów i ogłoszenie ich drukiem z doskonale zestawionymi indeksami. Oboje służyli nadto cierpliwie i ofiarnie informacjami, opartymi na gruntownym przerobieniu materiałów i niemal kierowali pracami młodych historyków na podobieństwo angielskich tutorów. Im obojgu zawdzięczamy ponadto uratowanie w formie przedruków, notatek, opracowań, recenzji, referatów itp. stosunkowo dużej ilości materiałów zawartych w rękopisach emigracyjnych i gruntowne przetrząśnięcie ich pod kątem ewentualnych rewelacji o

wybitnych ludziach lub wydarzeniach epoki (np. o towianizmie). Oboje opublikowali ponadto szereg opracowań własnych, że wymienię przykładowo zarys historii Wielkiej Emigracji Lewaka (w „Polsce, jej dziejach i kulturze”) czy materiały do działalności dyplomatycznej Rządu Narodowego w opracowaniu tegoż — albo pomnikowe wydanie listów Joachima Lelewela i liczne leleweliana pióra Heleny Więckowskiej, pracującej powolniej ale i sumiennie od słusznie oskarżanego o nadmierny pośpiech Lewaka.

Adam Lewak, młodszy niż mi się wówczas wydawało, pracował szybko i wydajnie, umiając koncentrować się na jednym z wielu narzucających się w toku pracy tematów. Własna jego praca naukowa zazębiała się nieuchronnie o biblioteczną a godziny urzędowania mieszały z pozabiurową pracą naukową. Nie miało to wpływu na załatwianie interesantów. Był zawsze do ich dyspozycji, choćby oznaczało to przerwanie korekty w połowie szpalty. Przed pracą w warszawskim „Rapperswilu” w czasie paromiesięcznego wypadu do Paryża skatalogował rękopisy Muzeum Mickiewicza w Bibliotece Polskiej. Do „Rapperswilu” przywiązany był fanatycznie a zatrąę zbiorów odczuł jak stratę kogoś z najbliższej rodziny. Na krótko przed wojną, po skatalogowaniu zbioru rękopisów, przeszedł do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego na stanowisko jej kierownika i przetrwał na nim okres okupacji, broniąc całości księgozbioru i sabotując zarządzenia niemieckiego komisarza W. Wittta. Zmarł 25. VI. 1963 w Gdyni, przeżywszy 72 lata.

Helena Więckowska, uczennica prof. Marcelego Handelsmana, pracowała jak sądzę bardziej metodycznie a na pewno niezmiernie ambitnie. Jej młoda i elegancka sylwetka zaskakiwała czytelników przywykłych do zaniedbanych i zrezygnowanych bibliotekarek starej szkoły. Łączyła w sposób zadziwiający i tajemniczy prace pani domu i matki dwojga wzorowo wychowanych dzieci (córka, Marysia, poległa w czasie powstania warszawskiego) z rozległą działalnością zawodową i naukową, która — zdawałoby się — pasjonowała ją bez reszty. I ona także, jak Lewak, została się z „Rapperswilem”, gdy katalogowanie zbiorów batignolskich dobiegło końca. W roku 1936 przeszła na Rakowiecką na stanowisko kierowniczkki Działu Druków Nowszych, w którym zorganizowała prace katalogowe na wielką skalę. Po wojnie objęła dyrekturę Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi i, co jest wyłomem w stosunku do biografii większości moich kolegów, doprowadziła do przeniesienia Biblioteki do nowego gmachu wzniesionego zgodnie z jej zaleceniami, opartymi na dobrej znajomości wielkich bibliotek światowych.

Po odejściu ich obojga kustoszem „Rapperswilu” został, jak wspomniałam wyżej, Stanisław Piotr Koczorowski, doskonale zorientowany w dziejach Wielkiej Emigracji z czasu, gdy pracował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ale i Lewak i Więckowska i nawet ja mieliśmy do wybuchu wojny wszelkie ułatwienia w korzystaniu ze zbiorów i Czytelni. Ja np. zatrzymałam jeden dyżur popołudniowy i co tydzień wracałam do starych kątów rapperswilskich, tak wydawało się bezpiecznych...

Trzeci adres Biblioteki: „Krakowskie”

Trzecim adresem Biblioteki Narodowej był pałac Potockich, zwany dziś pałacem Tyszkiewiczów, mieszczący się w sąsiedztwie kościoła Wizytek na Krakowskim Przedmieściu pod nrem 32. Mieściła się w nim także Polska Akademia Literatury, zajmująca część parteru i dzieląca z Biblioteką użytkowanie reprezentacyjnych sal na I-szym piętrze.

Pałac, uważany za „jeden z najprzedniejszych zabytków Warszawy”, zbudowany był przez Ludwika Tyszkiewicza ożenionego z bratanicą Stanisława Augusta, Konstancją z Poniatowskich. Autorami planów byli: major inżynierii wojskowej Stanisław Zawadzki i Jan Chrystian Kamsetzer, którego dziełem były projekty wnętrz pałacowych. Dwie sale na I-szym piętrze: dawna „Stołowa” zwana potocznie „Balową” ze względu na lożę dla orkiestry na wysokości I-go piętra, i dawny salon („Sala Gościnna”) ozdobione były białymi sztukateriami według rysunków Kamsetzera. Kwiaty, girlandy, owoce, instrumenty muzyczne, zwiewne postacie tancerek wypełniały pięknych proporcji prostokąty przedzielone lustrami i marmurowymi kominkami. Urządzaliśmy w tych salach wystawy biblioteczne, o których piszę niżej. W sali „Balowej” odbywały się publiczne posiedzenia Akademii Literatury. Tam właśnie Wacław Berent czytał słynną „mowę mianą” niesłusznie ośmieszoną przez Słonimskiego.

Biblioteka otrzymała prawo użytkowania prawego skrzydła parteru od strony Krakowskiego Przedmieścia, pierwszego piętra z kilkunastu oknami wychodzącymi tamże oraz sal od strony kościoła z oknami w fasadzie północnej. Dalszą część pomieszczeń stanowiły oficyny z oknami wychodzącymi na ogromny dziedzińiec, który wiąże mi się w pamięci z pęknięciem rur wodociągowych w pomieszczeniach Działu Starych Druków. Suszyliśmy na nim lekko zamoknięte woluminy przerażeni uszkodzeniami, które wydają się dziś niegodne wspomnienia wobec tego, co już nadciągało.

Najbardziej upamiętniło mi się jednak pierwsze piętro. Dwie wielkie sale frontowe przedzielone były „Bilardową” z bezpośrednim wejściem z pięknej klatki schodowej oświetlonej oknem weneckim kontrastującym jasną plamą z kolumnami w hallu wejściowym na parterze. W owej sali bilardowej zwanej przez nas „Czarną” mieściła się przez pewien czas Czytelnia Rękopisów, z której w praktyce korzystać było można tylko w miesiącach letnich, gdyż pozbawiona była ogrzewania, choć w teorii miał je zapewniać efektowny marmurowy kominek. Jedną z rewelacji w opisie pałacu pióra Marii Ireny Kwiatkowskiej (w serii „Zabytki Warszawy”, 1973) była dla mnie wiadomość, iż we wnęce *vis-à-vis* kominka znajdował się ongiś... piec kafłowy. Na podwórze wewnętrzne wchodziła (po prawej stronie klatki schodowej) najlepiej zachowana sala w kolorach ciemnych, szarym i czarnym, z autentyczną wspaniałą posadzką „masonską” w szachownicę z kwadratów drzewa czarnego i naturalnego jasnego, dobrze zżółkłego. Zwaliśmy ją salą „Szarą”; polubiłam ją do tego stopnia że każde przechodzenie przez nią uważałam za przyjemność. Pamiętam, że świadomie umieściłam w niej najbliższe sercu eksponaty na Wystawie Wołyńskiej w roku 1937. I doskonale pamiętam, jak żywo zareagowała na urodę tej sali Marszałkowa Piłsudska. Sądzono, że jest to część pałacu w jakiś szczególnie sposób związana z pamięcią Księcia Józefa, którego portret wisi nad rzekomo ongiś nad kominkiem. Może o tym właśnie portrecie wspomina Kwiatkowska pisząc, że „wychodzenie i werniksowanie portretu Kcia Józefa Poniatowskiego” wykonał w roku 1818 Franciszek Pfanhauser, uczeń Vogla i Bacciarellego.

Przez salę „Szarą” przechodziło się do narożnego salonu, będącego jakby przedłużeniem sali „Białej”, i przyległej zwanej „Pompejańską”, z typowymi dla końca XVIII-go wieku malowidłami ściennymi utrzymanymi w kolorze krwistoczerwonym. Ogromne okna decydujące o charakterze fasady północnej otwierały się na Krakowskie Przedmieście i skwerek przed kościołem Wizytek. Pracując przy nich tkwiło się w sercu Warszawy.

Z sali „Szarej” wchodziło się przez zamaskowane wąskie drzwiczki do bogato ozdobionej „tureckimi” freskami łazienki, w której jak donośnym scenicznym szeptem zwykł informować zwiedzających Demby — „Gucio” Potocki z Wilanowa kąpał piękną aktorkę, „Hermankę”, w szampanie. Frywolne dekoracje ścian były wymarzoną tłem tych zabiegów.

Z łazienki wchodziło się do tzw. pokoju „Białego”, dawnej sypialni, wybitej niezłe zachowaną jasną tkaniną. Pracowałam

tam przez dłuższy czas, katalogując tzw. „nowsze” rękopisy a w szczególności papiery rodzinne hr. Zamoyskich z Podzamcza.

Dalej wiodła droga do oficyn, w których na I-szym piętrze umieszczono zbiory muzyczne pozostające pod opieką dr. Juliana Pulikowskiego, zniemczonego Polaka, którego z lekkomyślnym zapałem przywracano wzgardzonej przez niego ojczyźnie. Na parterze ulokowano z czasem po śmierci prof. Gabriela Korbuta cenną bibliotekę polonistyczną, która poprzednio mieściła się na IV-tym piętrze oficyny pałacu Staszica w złączonym z mieszkaniem Profesora lokalu. Owym „Korbutianum” opiekował się Tadeusz Mikulski przy pomocy Kazimierza Budzyka i Zygmunta Manna. W dalszych oficynach, na południowej stronie dziedzica mieściły się: kolekcja kartograficzna pod opieką Władysławy Kułińskiej (później Około-Kułakowej) i zbiory graficzne, których porządkowaniem zajmowała się Maria Bartzakówna (później Bogdanowa Suchodolska) przy pomocy Kazimierzy Nadratowskiej.

Tam także znalazły pomieszczenie teatralia zdeponowane przez zarząd Teatrów Miejskich — opiekował się nimi Bogdan Korzeniewski.

Od frontu, w apartamentach parterowych z oknami wychodzącymi na Krakowskie Przedmieście, mieściły się niezmiernie bogate zbiory starych druków Biblioteki. Było to królestwo Kazimierza Piekarskiego, jego udzielne terytorium. Fakt, że „Rakowiecka”, gdzie mieściła się Dyrekcja, była oddalona od Śródmieścia, potęgował znaczenie „Krakowskiego” jako oficjalnej reprezentacji Biblioteki. Nakładał się na to wpływ indywidualności Piekarskiego.

Na Krakowskie przewieziono też część zbiorów rękopiśmiennych. Dlatego pracowałam tam po roku 1931, pod kierunkiem Piotra Bańkowskiego, zasadniczo tam urzędującego.



O ile tło pracy było okazałe i przyjemne, o tyle panujące wśród personelu stosunki dalekie były od idealnych. Około roku 1930 wybuchł problem „krakowski”. Grupa bibliotekarzy przybyłych spod Wawelu stanowiła zwartą grupę elitarną, odnoszącą się z rezerwą, jeśli nie pogardą do reszty. Pamiętam, że stosunek ten odczuwaliśmy bardzo dotkliwie. Fakt, że większość nazwisk cytowanych wcześniej przeze mnie (Jadwiga Dąbrowska, Irmina Śliwińska, Władysława Borkowska, Hanna Nowakowska itd.) nie znikła po wojnie z horyzontu bibliotekarskiego, świadczy pośrednio, że we wczesnym zespole pracowników Biblioteki Narodowej nie brakło obiecującego narybku. Nie ulega także wąpli-

wości, że w wielu wypadkach nie potrudzono się, by pomóc w zawodowym starcie a niekiedy świadomie go przyhamowano. Bibliotekarze krakowscy przesiedleni do Warszawy widzieli w nas materiał surowy nie nadający się do natychmiastowego włączenia w podejmowane przez nich prace. Mieliśmy już jednak ze sobą ukończone studia uniwersyteckie i byliśmy dostatecznie młodzi, by podjąć dodatkowy trud i nadrobić braki. Różniliśmy się „drugim” językiem: dla nich był to niemiecki, dla nas z reguły francuski.

Tzw. popularnie „Kraków” stanowił zwartą klikę odcinającą się od reszty personelu w sposób rzucający się w oczy. Uświadamiam to sobie nawet dziś, po kilkudziesięciu latach i po długim okresie kontaktów zawodowych z Anglikami i Szkotami, u których występuje odwrotność tego stanu rzeczy: starsi, lepiej przygotowani bibliotekarze w charakterystycznym dla społeczeństwa brytyjskiego poczuciu potrzeby ciągłości, poszukują owego młodego narybku, by go szkolić, często *nota-bene* na próżno, gdyż zdolniejsi i obrotniejsi uciekają przy pierwszej okazji na stanowiska uniwersyteckie lub do zawodów bardziej lukratywnych.

Zarzut ten nie pomniejsza zalet fachowych owej grupy krakowskiej i wartości indywidualnego dorobku poszczególnych jej przedstawicieli. U schyłku Dwudziestolecia, w przededniu wojny, sytuacja uległa zresztą znacznej poprawie, gdyż „Krakowiacy” zadowolili się w Warszawie i stopniowo, chcąc nie chcąc wchodzili w krąg spraw stołecznych. Lata wojenne przekreśliły resztki animozji i przekształciły tych, co ocaleli, w bohaterskich opiekunów ocalałych z płomieni zbiorów i fanatycznych pionierów odbudowy. Pełnia obrazu wymagała jednak dygresji o trudnościach, które najwyraźniej wystąpiły około roku 1930.

Do zacierania różnic dzielnicowych przyczyniali się w dużym stopniu odwiedzający często Krakowskie Przedmieście profesorem, a więc np. Julian Krzyżanowski, Stanisław Wędkiewicz, Jan Stanisław Bystróż a nawet pozornie ultrakrakowski Stanisław Kot, pozbawiony w owych latach katedry ale bardzo czynny w redakcji Polskiego Słownika Biograficznego. W Dziale Starych Druków pracowała jego ulubiona uczenica Alodia Kawecka-Gryczowa; ja miałam stale na warsztacie jakiś biogram zamówiony przez Słownik z jego inicjatywy. W czasie niemal comiesięcznych przyjazdów do Warszawy bywali gośćmi „Krakowskiego” Stanisław Pigoń (który po przedwczesnym zgonie prof. Ujejskiego czuwał ofiarnie nad postępami mojej pracy doktorskiej o Liceum Krzemienieckim), Kazimierz Nitsch, Władysław Semkowicz i, ale znacznie rzadziej, Ignacy Chrzanowski.

Centralne położenie „Krakowskiego” i sąsiedztwo Akademii

Literatury sprawiało, że zaglądali tam chętnie — bo po drodze — znajomi naukowcy i pisarze. Gościem częstym, w Bibliotece zadomowionym, był Julian Tuwim, któremu Piekarski i jego współpracownicy walnie pomagali w kłopotach szperackich i wydawniczych — a miał ich wiele, gdyż wbrew pozorom i wspomnieniom jego chwalców, polegał raczej na węchu niż systematycznych poszukiwaniach i był zdecydowanie skłonny do wyciągnięcia przedwczesnych wniosków (np. w fałszywym przypisywaniu autorstwa utworów anonimowych lub podpisanych kryptonimami). W okresie pobytów w Warszawie codziennym gościem był prof. Wacław Borowy, wykładający wówczas w Londynie. Niemal domownikiem był wizytator Jan Michalski, z którego pysznej biblioteki polonistycznej na Polnej korzystaliśmy jak z własnej.

Na kilka lat przed wojną zaczął praktykę w Dziale Starych Druków Kazimierz Budzyk związany przyjaźnią i współpracą z grupą przyszłych „gwiazd” polonistycznych. Myli mi się już dziś, którzy ze wspomnianych niżej odwiedzali Krakowskie Przedmieście a którzy pracowali tam dorywczo; pamiętam Franciszka Siedleckiego, Dawida Hoppensztanda, Stefana Żółkiewskiego, zagadanych z Mikulskim lub Budzykiem. Z nieco starszych roczników częstymi gośćmi byli: Zofia Rothertowa, Zofia Mianowska, Rafał Blüth, Bogdan Suchodolski, Tadeusz Makowiecki i wielu innych. Z pobliskiej Biblioteki Uniwersyteckiej zaglądała dr Stanisława Sawicka i ciągnący za nią historycy sztuki. Bliski sąsiad, Stanisław Lam, wolał, by go odwiedzano w jego kryjówce przy Księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego.

„Krakowskie” znało ponadto instytucję okresowych pracowniczek, wolontariuszek, rekrutujących się przeważnie z rodzin arystokratycznych, których zbiory były przedmiotem zainteresowań dr. Piekarskiego. Właściciele ich powierzali mu na przeszkolenie biblioteczne córki wychowane w szkołach klasztornych, znające dobrze języki obce i wykazujące zainteresowania naukowe. Przypominam sobie w tej roli dwie córki Franciszka Potockiego z Krakowa i kuzynkę Franciszka Zamoyskiego z Podzamcza, Marię Platerównę. Spokojne, pracowite, snuły się po Dziale Starych Druków, wykonując „czasochłonne” prace pomocnicze. Sądzono wówczas, że staną się opiekunkami zbiorów rodzinnych i będą je porządkować dla przyszłych pokoleń. Stało się inaczej, ale ponoć przydały się im w dalszym rozdziale życia rudimenta bibliotekarstwa, które po wojnie stało się ich zajęciem zarobkowym.



Indywidualnością górującą nad „Krakowskim” był dr Kazi-

mierz Piekarski. Wyglądał jak ożywiony portret renesansowego mecenasa sztuki: biła z jego postaci uczoność złączona ze znawstwem dobrej kuchni i wina oraz przykładną starannością o schludność wyglądu. Broda dodawała mu powagi a łysina — blasku, bo odbijały się w niej jak w zwierciadle światła bibliotecznych zyrandoli.

Nie mogę przypomnieć sobie, kto i kiedy nazwał go pierwszy „Mistrzem” — aleśmy tak wszyscy o nim mówili. Przywiózł chyba to przezwisko z Krakowa. Może zdecydowała o nim niebywała biegłość bibliotekarskiego rzemiosła i swobodna a niezawodna erudycja? A może wzgląd na matejkowski majestat postaci i ową brodę, która mogła także nasuwać reminiscencje z postaciami wielkich mistrzów krzyżackich? Za oczywisty dla niego despekt uważaliśmy inne jego, krakowskie, przezwisko: „Kaziu Piekarski”. W „Jagiellonce” zwano go pracownikiem luksusowym (*Luxusarbeiter*), bo nie uznawał pracy systematycznej i użytkowej, otaczać się lubił pięknymi i kosztownymi przedmiotami, potrzebował — więcej: wymagał dla swej wspaniałej postaci a brzydził się wszelkimi objawami biurokracji. Nie dbał o awanse i stopnie naukowe. Przychodziły do niego same. Głośne były wieloletnie starania kolegów i samego prof. Chrzanoskiego o to, by raczył zdać doktorat. Uznano wreszcie za dostateczny ekwiwalent specjalnej dysertacji krótką rozprawkę o pierwszej drukarni Floriana Unglera w Krakowie ze względu na jej znaczenie dla wczesnej historii drukarstwa polskiego. Napisał ją, bo pasjonował go temat. Że zaś wielki profesor chciał uświetnić jego nazwiskiem i tak już wspaniałą listę wychowanków, więc — jak się wówczas mówiło — „doszło do doktoratu”. Promocja Piekarskiego uświetniona była jedynym w swoim rodzaju wydawnictwem: księgą pamiątkową pod redakcją Józefa Grycza z artykułami prof. Mieczysława Brahmery, prof. Aleksandra Birkenmajera i in. Przewentylowano w nich zarówno naukową działalność „Mistrza” jak i jego słabostki. Księgę tę pt. „Marginalia” wydano w 200 egzemplarzach jako piękny druk bibliofilski.

Z miłością do starych druków łączyło się u Piekarskiego znawstwo ich na skalę europejską. Był w tym zakresie wszechstronny. Interesowała go zarówno historia wczesnego drukarstwa, znaków wodnych, gatunków papieru, rodzajów i kroju czcionek, jak i grafika książkowa, oprawy i ich zdobienie, znaki własnościowe, tłoczenia itp. Zgłębiał życiorysy drukarzy i introligatorów, ich testamenty i losy ich spuścizn, inwentarze ich dobytku i rachunki oraz dotyczące ich spraw zapiski sądowe. Znał wysokości nakładów książek XVI-wiecznych, ich ceny, warunki kol-

portażu. Z uszkodzonych opraw wydobywał, wzorem prof Brücknera, użyte dla ich umocnienia skrawki zadrukowanego papieru („makulaturę”), zdobywając w ten sposób fragmenty zaczytanych doszczętnie druków ulotnych, kalendarzy, druków jarmarcznych, a więc np. „Historii o Marchołcie grubym a sprośnym”. Największym jego sukcesem w tej dziedzinie było wydobycie fragmentów map Sarmacji i Polski z roku 1526 opracowanych przez Bernarda Wapowskiego. Wydobył je z oprawy księgi zawierającej akta salin bocheńskich w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Na podstawie znaków wodnych i stanu uszkodzeń czcionek ustalał kolejność i warianty rozlicznych wydań utworów Kochanowskiego.

Bibliografia prac Piekarskiego wlicza 186 tytułów artykułów rozproszonych po pismach naukowych lub wydanych w formie broszur bibliofilskich (plakietek) w niewielkim nakładzie. W roku 1936 rozpoczął druk pomnikowego opracowania pt. „Polonia typographica saeculi XVI” przynoszącego podobizny zasobów drukarskich tłoczni polskich, kontynuowanego na szczęście przez Alodię Kawecką-Gryczową. Równie ważnym jego dziełem był centralny katalog starych druków znajdujących się w zbiorach polskich i obcych. W momencie wybuchu wojny istniał on w formie gigantycznej kartoteki — i w tej formie pochłonął go pożar w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich w 1944 r., po powstaniu. Piekarski sporządzał go na pozór staromodnie na cienkich kartkach zwykłego kratkowanego papieru przycinanych z dużych arkuszy do formatu nie pokrywającego się ze znormalizowanymi kartami bibliotecznymi. Wbrew logice wyglądały zawsze świeżo, choć zasadniczo nie najlepiej nadawały się do włączania do kartotek. Była to jedna z tajemnic techniki pracy Piekarskiego. Trwał przy tym w stanie nerwowego pośpiechu, jakby przeczuwając, że nie dożyje starości. Zmarł 7 lutego 1944 r., w wieku 51 lat, oficjalnie — na serce. Warunki okupacyjnej egzystencji zgon jego niewątpliwie przyspieszyły.

Prof. Waław Borowy, pisząc o nim „Wspomnienie” do „Studiów nad książką poświęconych pamięci Kazimierza Piekarskiego” (1951) miał go przed oczyma za szybą pracowni bibliotecznej na parterze pałacu Potockich. Obserwować go tam było można z ulicy od wczesnego ranka do późnego wieczoru w charakterystycznym pochyleniu głowy nad starymi księgami, sporządzającego przerysy ornamentów opraw albo oglądającego pod światło znaki wodne. Działo się tak i w świątek i piątek, w każdej porze roku, bo na normalne urlopy z reguły nie wyjeżdżał. Gromadził równolegle materiały do historii różnych dziedzin staropolskiego życia kulturalnego i obyczajowego. Nie dla

siebie. Niewielu jest i było uczonych o większej lub zbliżonej szczodroblewości i bezinteresowności. Z wyników badań korzystać mogli na gorąco, przed ogłoszeniem ich drukiem (to przychodziło mu najtrudniej) nie tylko uczeni i przyjaciele ale i zastraszeni młodzi studenci i studentki poszukujący materiałów do prac dyplomowych. Ze słynnych kartotek korzystać mógł dosłownie każdy, kto wykazał się świętym ogniem zainteresowań naukowych. Teoretyczne narady z przedstawicielami starszych pokoleń, rozpoczęte w bibliotece, kontynuowane były często u pobliskiego Lourse'a albo w pięknej salce restauracji „Pod Żółtą Kaczką” ozdobionej staropolskimi maksymami wyboru Piekarskiego.

„Mistrz” był w zasadzie żonaty i dzieciaty ale w Warszawie zjawiał się sam. Żona o wyglądzie staroświeckiej dziedziczki odwiedzała go niekiedy, przyjeżdżając na krótko „ze wsi” o niesprecyzowanym bliżej adresie. Pojawiała się i znikwała jak meteor. Piekarski gdzieś mieszkał a raczej gdzieś nocował. Jakoś się odżywił, załatwiał sprawunki, odwiedzał lekarza czy dentystę. To wszystko nie liczyło się i odbywało niemal w popłochu — ustępowało wobec spraw istotnie ważnych, to znaczy wszystkiego, co dotyczyły jego naukowych pasji.

U podłoża ich tkwił stan permanentnego olśnienia polskim Odrodzeniem i przeświadczenie, że jest to okres niedostatecznie zbadany. Stąd podejście nie tylko uczonego ale i detektywa. Pamiętam, że odkrywszy wspomniany wyżej fragment mapy Wapowskiego poszukiwał dalszych w oprawach innych ksiąg wykonanych w tym samym warsztacie, wychodząc z założenia, że zapas „makulatury” był spory. Tropił dzieje poszczególnych egzemplarzy książek — praktykował socjologiczne podejście do recepcji dzieł literackich jako jeden z pionierów takich badań.

Co pewien czas wyruszał na odkrywczorabunkowe wyprawy na prowincję do bibliotek w rezydencjach magnackich, pałacach biskupich, seminariach duchownych, klasztorach itp. (jak przed nim biskup Załuski, Czacki, Ossoliński). Miał z tego tytułu rozległe znajomości wśród arystokracji, ziemiaństwa i dostojników kościelnych. Z jednym z nich, bp. Stanisławem Okoniewskim z Pelplina łączyły go związki bibliofilskiej przyjaźni. Kulminacyjnym jej punktem było udekorowanie Biskupa orderem „Białego Kruka” w obecności, jak żartowano, bezcennego egzemplarza pierwszego wydania Biblii Gutenberga, ozdoby zbiorów pelplińskich. Uroczystość odbyła się w rezydencji biskupiej a w czasie obiadu pojawił się na stole biesiadnym szczupak jak z „Pana Tadeusza” niepocięty a na trzy sposoby przyrządzony.

Ów order przypomina zapomniany rozdział historii książki w Dwudziestoleciu. W roku 1923 zawiązano w Krakowie Towarzystwo Miłośników Książki pod prezesurą Kazimierza Witkiewicza, stryja Witkacego. Wyłoniło ono ściślejszy „Zakon Bibliofilów”, którego Kapituła nadawała wybrancom order Białego Kruka za zasługi na polu krzewienia znawstwa starych ksiąg i miłości do nich. „Zakon” wypracował skomplikowany system godności i szczebli mocno zalatujący wolnomularstwem oraz specyficzną tytulaturę. Do „Wielkiego Komandora Wschodu” zwracano się np. *per* „Wasza Paginacja” albo „Dostojny Foliencie”, „bracia” zwani byli „suplementami”, „siostry” — „kapitałkami” a „kandydaci” — „makularzystami”. W czasie posiedzeń wygłaszano przemówienia, w których erudycja (obowiązkowa) zakrapiana była frywolnymi cytataми staropolskimi.

Piekarski odznaczony w roku 1930 godnością „Kustosza Orderu Białego Kruka ze wstęgą Inkunabułu” brał całym sercem udział w imprezach Towarzystwa. Był inicjatorem wydawnictw, wystaw i wycieczek, duszą tych poczynań i czujnym stróżem właściwego ich poziomu. Grono krakowskich bibliofilów ma w swym dorobku szereg wystaw takich jak np. starych kalendarzy krakowskich, różnych wydań „Pana Tadeusza”, exlibrisów ze zbiorów prywatnych, książek i grafiki związanej z osobą Marszałka Piłsudskiego i wiele innych. W roku 1944, po śmierci Piekarskiego, urządzono w Krakowie poświęconą jego pamięci wystawę konspiracyjną.

Zainteresowania staropolszczyzną dzieliła z Piekarskim dr Ałodia Kawecka-Gryczowa, specjalistka od okresu Reformacji, rozszerzająca z każdym rokiem zakres swych zainteresowań. Drobna i delikatna, o uśmiechu Giocondy i niezmiernie ciekawej urodzie, okazała się uczenicą tak pojętną, że po wojnie podjęła odważnie kontynuację i odtwarzanie dzieła Piekarskiego i to, co on planował, potrafiła wprowadzić w życie, choć zaczynać jej wypadło niemal od zera na skutek strat wojennych i zatraty lub zdezaktualizowania opracowań. W okresie przedwojennym opracowała m.in. katalog starych druków ze zbiorów horynieckich a pochodzących z większości z biblioteki ks. Ignacego Polkowskiego.

Pod okiem Gryczowej wdrażał się do przyszłej świetnej naukowej kariery Tadeusz Mikulski, raz po raz odrywany od rewindykatów do „Korbutianum” to znów pozyskanych na skutek zabiegów Piekarskiego a ulokowanych na Rakowieckiej zbiorów wilanowskich. Rudimenta wiedzy o całokształcie spraw polskiego Oświecenia zdobył on niewątpliwie w Narodowej. Podobnie rysowała się kariera naukowa Kazimierza Budzyka, który opra-

cowywał na Krakowskim druki XVII-wieczne. Obaj zmarli przedwcześnie po roku 1945: Mikulski jako profesor Uniwersytetu Wrocławskiego i twórca szkoły historyków literatury polskiego Oświecenia; Budzyk, jako profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Moją najbliższą towarzyszką pracy była przez długie lata Irmina Śliwińska, z którą do spółki porządkowałyśmy rękopisy nowsze, co zostało utrwalone na karcie tytułowej powielanego katalogu ich części. Zamknięta w sobie, pracowita i koleżeńska, stale walcząca z trudnościami domowymi, utrzymywała ze skromnych zarobków owdowiałą matkę i przyrodnie siostry. Sytuacja ta uległa poprawie, gdy siostry się usamodzielnily a ona sama wyszła za mąż za dr. Leona Śliwińskiego, urzędnika Funduszu Kultury Narodowej. Przygotowywała przed wojną zbiorowe wydanie pism Jakuba Jasińskiego, nie zdołała ich jednak wydać. Dopiero po wojnie, ona z kolei przedwcześnie i tragicznie owdowiała, jako pracowniczka Instytutu Badań Literackich doprowadziła do końca dwa poważne opracowania bibliograficzne: bibliografię mickiewiczowską (ze Stanisławem Stupkiewiczem) i tom „Nowego Korbuta” poświęcony Kraszewskiemu. Ten ostatni wiąże się z przedwojennymi jej pracami nad katalogowaniem zbiorów tego pisarza. I ona zmarła przedwcześnie (1966).

Niemal do personelu Biblioteki zaliczyć można prof. Stanisławę Sawicką, która opracowywała rękopisy iluminowane ze zbiorów Narodowej a pracowała w mieszczącym się wówczas w Bibliotece Uniwersyteckiej Gabinetie Rycin.



Tak rysowały się w przededniu wojny jakby dwa współrzędne kręgi: starsi, skupieni wokół Piekarskiego, Lewaka a następnie także Wierczyńskiego w pracowniach naukowych na Krakowskim i w „Rapperswilu”. Z daleka trzymał się tylko dr Julian Pulikowski, muzykolog, ziemczony Polak, ściągnięty do Warszawy przez prof. Kota, który widział w nim przyszłego „naukowego” Kolberga. Doskonaly specjalista, porządkował i wzbogacał cennymi nabytkami zbiory muzyczne przy pomocy Wandy Rudzkiej, jedynej osoby z personelu Biblioteki, którą tolerował. Reszta nie słyszała od niego ani słowa poza zdawkowym „Dzień dobry” lub zwięzłym wyłożeniem spraw urzędowych. Los sprawił, że zginął przy budowie barykady w czasie powstania warszawskiego, choć do celowości samej akcji odnosił się z rezerwą a w czasie wojny współpracował z okupantami, pomagając jednak w miarę możliwości kolegom i strzegąc zbiorów Biblioteki.

Wystawy Biblioteki Narodowej

Na skutek braku własnego budynku Biblioteka znalazła się w sytuacji niezrozumiałej dla ogółu. Wiedziano, że istnieje, że chlubi się posiadaniem białych kruków i zabytków piśmiennictwa staropolskiego, że firmuje działalność Instytutu Bibliograficznego, ale nie umiano jej umiejcować i należycie ocenić. Nie ułatwiało rozeznania fakt, że walczano przez długie lata z brakiem katalogów a nawet umożliwiających ich opracowanie instrukcji. Ten stan rzeczy trwał do 1939 roku i szczególnie wyraźnie występował w Dziale Druków Nowszych.

W działach specjalnych sytuacja była nieco lepsza. Zasoby ich były uchwytniejsze, dające się łatwiej opanować czuwającym nad nimi pracownikom. Oznaczało to jednak zamykanie się w kręgu wtajemniczonych: Piekarski wiedział „wszystko” o starych drukach, Lewak — o rękopisach rapperswilskich, Więckowska — o Lelewele, Pulikowski o zbiorach muzycznych itp. I tylko ich erudycji i uczynności zawdzięczać mogło dotarcie do potrzebnych im materiałów coraz liczniejsze grono korzystających spoza personelu Biblioteki. Jeśli nawet grono to urosło do pokaznych rozmiarów było w tym coś niezdrowego i nienormalnego. Tkwiących wewnątrz zamkniętego kręgu uderzała niewspółmierność kryjących się w zbiorach możliwości i ich, jakże fragmentarycznego, użytkowania. Gdy piszę o tym po czterdziestu latach do jeszcze wyraźniejszego uświadomienia tych dysproporcji dołącza się świadomość, że to czego wówczas nie opracowano, czego nie ogłoszono drukiem, nie sfotografowano itd. — przepadło z kretesem, zwęglone i spopielone w latach wojennych.

Z owym stanem zawieszenia w oczekiwaniu na uporządkowanie zbiorów i scalenie ich we własnym gmachu wiązał się na dodatek jeszcze inny aspekt. Biblioteka istniała formalnie od roku 1928 — ilekroć jednak datą tą szermowano padało sakramentalne pytanie: „Co właściwie składa się na tę tajemniczą Bibliotekę? Gdzie się ona mieści? Jak do niej trafić?”. My, pracownicy Biblioteki, stawiani wobec tego typu pytań, wiliśmy się jak na mękach, wyjaśniając, że zbiory rozproszone są pod trzema adresami a i tam nie w pełni udostępnione. Nie ulegało wątpliwości, że Biblioteka nie nadawała się do zwiedzania — a coraz częściej zgłaszali się do niej kierownicy szkół chcących zorganizować wycieczkę, osoby prywatne zainteresowane jakimś działem czy wreszcie turyści zagraniczni.

Problemem poważniejszym było to, że profesorowie wyższych uczelni decydujący o tematach prac dyplomowych słabo

orientowali się w zasobach Biblioteki, zwłaszcza w zakresie zawartości zbiorów rewidykowanych z Rosji. Rakowiecka wy-dawała się wówczas adresem dalekim i niewygodnym, z dojazdami zabierającymi cenne godziny pracy.

W tym układzie spraw szczególnego znaczenia nabrała akcja wystawowa, podjęta przez Dyрекcję w roku 1934. Nie poprzedził jej plan ani intencja ułożenia kolejnych imprez z logiczny ciąg. Najwcześniejsze wiązały się z wydarzeniami, których inicjatywa wyszła z kół pozabibliotecznych, a więc zjazdami, rocznicami, wizytami dygnitarzy zagranicznych. Nie wszystkie upamiętnione zostały katalogami. Pedagogiczne i propagandowe znaczenie wystaw uświadomiła dopiero wielka rewia Mickiewiczianów w setną rocznicę ukazania się pierwszego wydania „Pana Tadeusza”. Ujawniło się wtedy w pełni że wystawy odsłaniały bogactwa zbiorów Biblioteki a za ich pośrednictwem ilustrowały różne aspekty kultury narodowej. Przyciągały ponadto ofiarodawców i były walnym argumentem w staraniach o własny gmach. Katalogi poszczególnych imprez były równocześnie przewodnikami po odpowiednich działach a dziś są w wielu wypadkach jedynym śladem zaginionych w czasie zniszczeń wojennych eksponatów. Szkoda wielka, że nie objęto nimi wszystkich wystaw, bo i w te nieupamiętnione, zwłaszcza Mickiewiczowską, włożono wiele pracy i długich przygotowań.

U początku akcji stoi *Wystawa zabytków języka staropolskiego* zorganizowana z okazji odbywającego się w Warszawie w roku 1933 Międzynarodowego Zjazdu Sławistów. Pokazano na niej, obok reprezentacyjnych zabytków z „Kazaniami Świętokrzyskimi” na czele, kilkadziesiąt rękopisów zawierających drobne często kilkuwyrazowe zapisy w języku polskim w postaci glos marginalnych i międzywierszowych, zapisków na wyklejkach opraw, na szczątkach rękopisów i starych druków użytych do wzmacniania okładek, proveniencji itp. Wystawa opierała się w 90 % o zbiory rewidykowane z Rosji, toteż wielką pomocą przy doborze eksponatów były notatki i wskazówki byłych członków Komisji Rewidykacyjnej a w szczególności Aleksandra Birkenmajera, Piotra Bańkowskiego i Kazimierza Piekarskiego. Niejedną wskazówkę wyłowiono przy skrupulatnym przeglądaniu prac Aleksandra Brücknera. Z pomocą przy odczytywaniu najstarszych zabytków przyszli specjaliści tej miary co Władysław Semkowicz i Stefan Vrtel-Wierczyński. Nad ogólnym układem Wystawy czuwał Piekarski. Wypadła okazale, choć w braku gablot trzeba było kontentować się wąskimi stołami w wielkiej sali czytelnianej Szkoły Głównej Handlowej, w której je rozmieszczono. Ilość i jakość eksponatów była niespodzianką dla wielu. Nigdy przed

tym nie pokazano w Warszawie tyłu i tak wartościowych zabytków języka staropolskiego.

Wkrótce potem w roku 1933 obradował w Warszawie VII-my Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych. Uznano to za właściwy moment zaprezentowania możliwości Biblioteki nie tylko zagranicznym uczestnikom Kongresu, ale i historykom krajowym, którzy licznie zjechali na obrady. Tym razem zdecydowano się na opublikowanie katalogu. Komisarzem Wystawy był dr Adam Lewak. Przygotowania trwały kilka miesięcy i, prawdą a Bogiem, oderwały kilkanaście osób personelu od normalnych prac, co wypominano później, podkreślając efemeryczność Wystawy, trwającej kilka dni. Pozostał po niej jednak trwały i cenny ślad w postaci *Katalogu Wystawy Zbiorów Historycznych Biblioteki Narodowej w Warszawie*, poprzedzonego obszernym wstępem pióra dr Alodii Kaweckiej-Gryczowej, zawierającym historię Biblioteki i zwięzłą charakterystykę jej zbiorów. Tekstowi polskiemu towarzyszył przekład francuski, dokonany przez Stanisława Piotra Koczorowskiego, który występował później stale jako tłumacz tekstów dalszych katalogów, z reguły dwujęzycznych.

Wstęp informował, iż „w doborze eksponatów kierowano się przede wszystkim ich wagą dla studiów historycznych”; uwzględniano ponadto nauki pomocnicze a w szczególności kartografię. Marginesem Wystawy był pokaz rękopisów iluminowanych, pochodzących w większości ze zbiorów rewindykowanych z Rosji. Z tematyką referatów kongresowych wiązały się wydzielone specjalnie eksponaty dotyczące Soboru w Konstancji, polskie Americana, listy Mazziniego itp.

W zakończeniu wstępu wyliczono nazwiska osób biorących udział w przygotowaniu Wystawy: Adam Lewak (ogólne kierownictwo), Maria Danilewiczowa (historiografia dawna, rękopisy; literatura), Stanisława Sawicka (historia sztuki), Irmina Śliwińska (ustawodawstwo), Helena Więckowska (historia Polski XIX wieku), Stanisław Piotr Koczorowski (nauki pomocnicze), Bolesław Olszewicz (kartografia, „Americana”), Bonawentura Lenart (dekoracja Wystawy).

Opisy katalogowe rozpoczyna przypomnienie stoisk honorowych poświęconych Marszałkowi Piłsudskiemu i twórcy pierwszej polskiej księżnicy narodowej Józefowi Andrzejowi Załuskiemu (1702-1774). Dział Załuscianów objął ponad sto eksponatów, w tym oryginalne katalogi, rachunki i oferty księgarskie, notaty bibliograficzne spisywane przez Załuskiego w Kraju, w czasie podróży zagranicznych i na zesłaniu w Kałudze.

W dziale „Historiografia polska” 80 eksponatów obrazowało źródła historyczne, kroniki i zarysy dziejów Polski od „Rocznika świętokrzyskiego dawnego” po Naruszewicza. Nie tylko obcy, ale nawet swoi, w Warszawie mieszkający historycy, zdumieni byli jednoczesną obecnością na sali takich zabytków jak „Kodeks Heilsberski” kroniki Galla-Anonima, różne wersje kronik Kadłubka, Janka z Czarnkowa, Długosza, Miechowity, Bielskiego, Orzechowskiego, Kromera, Gwagnina, Pastoriusa, Lengnicha itd. Kilka, pochodzących ze zbiorów Załuskich wyróżniało się przepysznymi oprawami sporządzonymi na koszt Stanisława Augusta, ozdobionymi *superexlibris*’em królewskim i napisem *Stanislaus Augustus, rex Poloniarum saeculorum posteritati vindicat*. Z obfitych Lelewelianów pokazano rękopisy numizmatyczne i kartograficzne, w tym bardzo cenne notatki odnoszące się do mapy Polski Wacława Grodeckiego i arabskiej mapy świata Idrisiego.

W oczy rzucały się wspaniałe „Acta Tomiciana”, zbiór materiałów z lat 1493-1548, sporządzony na zlecenie Zygmunta Augusta przez Stanisława Górskiego, notariusza podkanclerzego koronnego Piotra Tomickiego. Tom I-szy „zvodu królewskiego” ozdobiony był na okładce portretem Króla; część „Tomicianów” (t. II-III i V-XIX) pochodziła z Biblioteki Jagiellońskiej a w Bibliotece Załuskich znalazła się w formie wypożyczenia na zlecenie Stanisława Augusta; tym tłumaczy się ich obecność wśród rękopisów rewindykowanych z Rosji. Późniejszym odpowiednikiem „Tomicianów” były „Teki Naruszewicza” (18 tomów), i „Teki królewieckie” (6 tomów wypisów z tajnego archiwum krzyżackiego w Królewcu), sporządzone dla księcia Ad. Jerzego Czartoryskiego.

Inną rzucającą się w oczy grupą były zbiory listów królewskich, korespondencje Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów i in. z rewindykowanej z Rosji „Collectio autographorum”.

Aczkolwiek nie było niespodzianką, że w zbiorach Biblioteki Narodowej reprezentowane są obficie materiały do historii porobiorowej, zwiedzających uderzało bogactwo dokumentacji, gdyż obok imponujących rozmiarami tomów (np. 42 kartonowych pudeł stanowiących tzw. „Teki Dąbrowskiego”, sążnistych „Tek Ignacego Mieleszki”) zilustrowano bieg wydarzeń setkami odezów, druków ulotnych, czasopism, dzienników, wykazów emigrantów itp. Marginesem działu porobiorowego były pamiętniki Sybiraków. Większość eksponatów pochodziła ze zbiorów Rapperswilskich.

Wśród rękopisów wystawionych ze względu na szczególną ich wagę wyróżniały się „Hussitica”, zbiór dokumentów odnoszących się do dziejów wewnętrznych Czech z czasów Jerzego z Po-

diebradu. Innym *cimelium* był efektowny rękopis Emira Wacława Rzewuskiego pt. *Sur le chevaux orientaux et provenant des races orientales*, ozdobiony licznymi rysunkami Emira.

Dział „Americana” otwierało Jana Głogowczyka *Introductorium compendiosum in tractatu sphaerae materialis Joannis de Sacrobusto* (druk krakowski z roku 1506) z pierwszą wzmianką o odkryciu Ameryki ogłoszoną w Polsce. W „Kronice wszystkiego świata” Bielskiego (1551) w każdym z kolejnych wydań znajdowały się coraz obszerniejsze wzmianki o „wyspach morskich nowo znalezionych”. Autor „Arithmetica integrorum” Jan Brożek wysunął nawet projekt nazwania Ameryki „Columbiną” — dzieło jego otworzone na odpowiedniej karcie (str. 178).

Zbiory kartograficzne, którym w roku 1934 poświęcono oddzielną wystawę tu reprezentowane były tylko perłami kolekcji, a więc fragmentami dwu map Polski Bernarda Wapowskiego (1526), odnalezionymi przez Piekarskiego. W dziale tym dominował wielki plan Warszawy z roku 1771.

Suplementem wystawy był pokaz najcenniejszych zabytków języka staropolskiego z „Kazaniami świętokrzyskimi” i „Psałterzem Floriańskim” zakupionym na krótko przed tym w roku 1932 z Biblioteki Opactwa św. Floriana pod Linzem.

W suplemencie „literackim” wybijał się autograf „Balladyny” Słowackiego i rękopisy Wyspiańskiego.

Dział rękopisów iluminowanych, opracowany przez wypożyczoną z Biblioteki Uniwersyteckiej dr. Stanisławę Sawicką, obejmował 45 rękopisów, w większości ze zbiorów Załuskich. Otwierało go „Tetra-Evangelium” z XII-go wieku a zamykały pyszne graduały z klasztoru Augustianów w Krakowie z końca XV-go wieku. Jeden z nich otworzono na miniaturze, przedstawiającej św. Katarzynę, do której pozować musiała jakaś złoto-włosa Krakowianka.



W zimie 1934 zbiegły się dwie okazje sprzyjające urządzeniu wystawy pozwalającej na pokazanie drobnej części cimeliów ze zbiorów Rapperswilskich. Jedną z nich była setna rocznica zgonu gen. M. G. La Fayette’a*, „pierwszego grenadiera Gwardii Narodowej Warszawskiej z 1831 roku, obrońcy sprawy polskiej”, znanego w Polsce przede wszystkim z działalności w Stanach Zjednoczonych, gdzie walczył w czasie wspólnej służby w szere-

* Z autografów wynikała pisownia „La Fayette” a nie często używana „Lafayette”.

gach amerykańskich i zaprzyjaźnił się z Kazimierzem Pułaskim i Tadeuszem Kościuszką.

Drugim uzasadnieniem *Wystawy ku czci generała M. G. La Fayette'a* było to, że rocznica zbiegła się z przyjazdem do Warszawy z oficjalną wizytą francuskiego ministra spraw zagranicznych Louis Barthou (na krótko przed tragicznym jego zgonem w Marsylii, gdzie padł ofiarą zamachu na króla jugosłowiańskiego Aleksandra I). Wystawa otrzymała oficjalny patronat Premiera, Ministra Spraw Zagranicznych i ambasadorów Francji i Stanów Zjednoczonych.

Drukowany katalog *Wystawy* poprzedził wstęp jej organizatora, Adama Lewaka pt. „Stosunki La Fayette'a z Polską”. Jak trafnie ujął, działalnością Generała „kierowały dwie zasady: wolność i prawo do samodzielnego życia narodów”. Tym tłumaczy się że w roku 1777 wyruszył za Ocean a spotkawszy się tam z Pułaskim i Kościuszką stał się pionierem sprawy polskiej. W czasie powstania listopadowego ku niemu „zwracały się oczy i nadzieje polskie, wyczekujące pomocy z Francji”. Nie zawiódł nadziei, robił wszystko, co było w jego mocy. Praktycznym wyrazem jego dążeń był Centralny Komitet Pomocy Polsce przez niego założony a liczący wśród członków m.in. V. Hugo, J. P. de Béranger'a, Alexandre Dumas'a. Z tego środowiska wyszła „La Varsoivienne” Delavigne'a, której pierwodruk pokazano. Mickiewicz mówi o La Fayette'ie w „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa polskiego” jako „o ostatnim z ludzi dawnych europejskich, w którym jest jeszcze duch poświęcenia się, reszta ducha chrześcijańskiego”.

Wystawa zilustrowała szczegółowo propolską działalność La Fayette'a, której rezultatem było zebranie 648.455 franków i pomoc naprzód dla udających się z Francji na pomoc powstaniu a następnie dla przybywających do Francji po klęsce powstańców.

Świadectwem zabiegów La Fayette'a były pokazane na Wystawie rękopisy i akty Komitetu Franko-Polskiego, zawierające wykazy osób biorących udział w akcji na rzecz Polski w komitecie paryskim i pokrewnych komitetach na prowincji francuskiej, w Belgii i Stanach Zjednoczonych. Udokumentowano też pomoc ze strony wolnomularstwa francuskiego (np. Loge de la Sincérité w Bordeaux, Loge de la Philanthropie w Vannes, Loge de la Philadelphie w Paryżu i in.).

Uwagę ministra Barthou zwrócił list praczki, Madame Laillet, która w przyпыlywie entuzjazmu dla sprawy polskiej deklarowała La Fayette'owi, iż pragnie z całego serca „*faire quellque (!) chause (!) pour les Polonais... je peu(x) bien blanchir un Polonais*” (1832).

W przeciwieństwie do poprzedniej, Wystawę organizowano pośpiesznie. Przygotował ją zasadniczo Lewak przy pomocy Marii Danilewiczowej (rękopisy i druk katalogu), Marii Bartczakówny (ryciny i nuty), Janiny Briesemeister (katalogowanie druków). Wystawę urządzono w pałacu Potockich.



Następny (trzeci) „Katalog Wystawy Zbiorów Teatralnych i Muzycznych Biblioteki Narodowej w Warszawie” dotyczył imprezy zorganizowanej w roku 1934 z okazji IX-go Kongresu Międzynarodowej Konfederacji Autorów Dramatycznych i Kompozytorów Muzycznych. Była to wygodna okazja zademonstrowania bogactwa Biblioteki w działach niedawno stworzonych, a nawet tak „ciepłych” jak świeżo zdeponowana Biblioteka Teatrów Miejskich, którą później opiekował się Bogdan Korzeniewski.

Wystawa dała pole do popisu pracownikom licznych działów Biblioteki, bo eksponaty dotyczyły historii teatru polskiego i polskiego życia muzycznego od najdawniejszych czasów i wydobywane były zarówno z rękopisów i druków jak i obiektów graficznych i nut. Tym tłumaczy się długa lista przygotowujących Wystawę: pod dyrekcją Stefana Dembego opracowali ją: Irmina Śliwińska, Hanna Puciatowa, Maria Bartczakówna, Maria Danilewiczowa, Lidia Rumiancewowa, Janina Zawistowska, Bonawentura Lenart, Julian Pulikowski, Stanisław Piotr Koczorowski i Tadeusz Makarewicz.

W Dziale Dramatycznym zilustrowano polską literaturę dramatyczną od XVI-wiecznych dialogów poczynając a na Żeromskim i Kasprowiczu kończąc (przekłady z literatur obcych), pokazano wspaniałe przykłady starych afiszów z lat 1787-1929 ze zbiorów Biblioteki Teatrów Miejskich — prasę teatralną od „Momusa” Alojzego Żółkowskiego do pism ukazujących się w latach 1930-tych. Interesującym aneksem był pokaz teatraliów ze zbiorów horynieckich ofiarowanych Bibliotece przez Stanisława Karłowskiego. Dotyczyły one teatru pałacowego stworzonego ok. 1843 roku przez księcia Leandra Ponieńskiego dla syna, Ludwika Nikodema (1827-1893), który przez 50 lat był kierownikiem, reżyserem, aktorem i autorem (lub tłumaczem czy adaptatorem) wystawianych w Horyńcu sztuk. Katalog Wystawy jest jedynym bodaj śladem działalności tej ciekawej i na wysokim poziomie postawionej sceny prywatnej. Wśród strat wojennych figuruje zarówno kronika teatru, jak i wykaz sztuk granych w Horyńcu,

nazwisk aktorów oraz katalog księgozbioru teatralnego dobrego bardzo starannie (i kosztownie). Teatr porywał się na wystawianie tragedii Szekspira „Hamleta”, „Makbeta”, „Romeo i Julii”), Augusta von Kotzebue, J. F. Ducis’a i w.in. a z autorów polskich Jana Nep. Kamińskiego, Józefa Korzeniowskiego i Aleksandra Fredry (m.in. „Pana Jowialskiego”).

Drugi dział Wystawy ilustrował polską twórczość muzyczną z lat 1750-1918 i opracowany był bardziej szkicowo, niż dział teatraliów. Tłumaczy się to tym, że organizator tego pokazu, dr Pulikowski, nie przykładał wielkiej wagi do imprezy, uważał, że przydzielono mu zbyt mało miejsca itp. W rezultacie pokazał skąpą dawkę pierwodruków nut Chopina i przykłady produkcji Józefa Elsnera, Macieja Kamińskiego, Karola Karpińskiego, Franciszka Mireckiego, Stanisława Moniuszki, Wojciecha Sowińskiego i in. Ozdobą tej sekcji Wystawy był Album Chopina, zawierający jego dziennik z lat 1830-1831. W aneksie wystawione były nuty wydane w latach powojennych — jako jedyny rzeczywiście cenny eksponat — autograf IV Symfonii Karola Szymanowskiego.

Skromnie przedstawiał się również pokaz teatraliów ze zbiorów graficznych Biblioteki. Wyróżniały się jedynie akwarele Antoniego Teofila Kwiatkowskiego dotyczące Chopina i piękna kolekcja miedziorytów Chodowieckiego o tematyce teatralnej.

Czwarta upamiętniona katalogiem *Wystawa Zbiorów Kartograficznych* dedykowana była Międzynarodowemu Kongresowi Geograficznemu odbywającemu się w Warszawie w roku 1934. W przeciwieństwie do poprzednich organizowali ją historycy kartografii spoza zespołu pracowników Biblioteki: dr Karol Buczek (z Krakowa) i dr Bolesław Olszewicz (z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego). Z personelu Biblioteki pomagała im jedynie Władysława Około-Kuśakowa i odpowiedzialni za artystyczny kształt pokazu Bonawentura Lenart i Lidia Rumiancewa.

Ambicją organizatorów było oddanie do rąk uczestników Kongresu informatora o dziejach kartografii ziem polskich i stanie kolekcji z tego zakresu. Aby cel ten osiągnąć wypadło wyjść poza zbiory Biblioteki Narodowej, niezbyt zasobne w tym zakresie, a dla utrzymania ciągłości posłużyć się reprodukcjami i ilustracjami z literatury przedmiotu. Pedagogiczny cel Wystawy podkreślają obszerne noty objaśniające poszczególne eksponaty.

W ramach pokazu położono nacisk na mapy ziem polskich z XVI-go i XVIII-go wieków a w okresach dalszych ograniczono się do pokazania map oznaczających etapy historii kartografii polskiej.

W obrębie XVI-go i pierwszej połowy XVII-go wieku zgrupowano oddzielnie mapy pochodzące 1) od mapy Mikołaja z Kuzy, 2) od mapy Erharda Etzlauba, 3) od map Wapowskiego, 4) od map wzorowanych na mapach Polski i Sarmacji Gerarda Merkatora i 5) map Wacława Grodeckiego. W okresie późniejszym zarysowały się grupy pochodne od map N. Sanson d'Abbeville i G. le Vasseur Beauplana. Po ubogim w mapy stuleciu (1650-1750) zwrócono uwagę na ożywienie prac kartograficznych za Stanisława Augusta (J. A. Rizzi-Zannoni, Karol de Perthées, mecenat księcia J. A. Jabłonowskiego).

Wśród eksponatów XIX-wiecznych wyróżniała się „Karta dawnej Polski z przyległymi ziemiami” (1 : 300.000) wydana w Paryżu w roku 1859. Stanowi ona, według słów przedmowy „rzadki w dziejach kartografii dokument z walk niepodległościowych i dowód żywotności pozbawionego chwilowo własnej państwowości narodu”. Twórcą mapy był kartograf z armii Królestwa Kongresowego gen. Wojciech Chrzanowski.

Finałem Wystawy były mapy współczesne, wiążące się z nazwiskiem prof. Eugeniusza Romera.

O trwałej wartości katalogu decydują poprzedzające wykaz eksponatów przedmowy: 1) Karola Buczka pt. „Rzut oka na dzieje kartografii polskiej”, i 2) Bolesława Olszewicza: „Zbiory kartograficzne w Polsce”. Uzupełnia je „Spis ważniejszej literatury do dziejów kartografii Polski i polskich zbiorów kartograficznych”. W sumie był to pożyteczny przewodnik-informator dla uczestników Kongresu. Ze względu na nich wszystkie teksty opatrzone były przekładami na język francuski.



Katalog Wystawy Wołyńskiej (31. III - 14. IV. 1935), piąty i ostatni w serii przedwojennych drukowanych świadectw imprez Biblioteki, ilustruje jeszcze inną koncepcję. Jak poprzedni, w części tylko opierał się o zbiory własne, gdyż w poszukiwaniu eksponatów przetrząsnęto nie tylko biblioteki publiczne ale i kilka prywatnych, w których można było oczekiwać większych zespołów druków dotyczących Wołynia. Z pomocą pośpieszyli wybitni znawcy problemów literatury o Wołyniu: Jakub Hoffman, redaktor *Rocznika Wołyńskiego* i wizytator Jan Michalski, właściciel księgozbioru obfitującego w pamiętniki i pierwodruki XIX-wiecznej literatury pięknej. Zza grobu wspomagał poczynania organizatorów Wystawy śp. Edward Maliszewski, autor bibliografii krajoznawstwa polskiego, nie ogłoszonej drukiem.

W pozostawionych przez niego kartotekach znalazło się około 2.000 opisów bibliograficznych dotyczących Wołynia. Ujawniały one trójjęzyczność materiałów, będącą wymownym świadectwem, że naukowe prace na temat Wołynia opierać się muszą na publikacjach w językach polskim, ukraińskim i rosyjskim. Przypomnienie to było ze wszech miar na czasie w okresie, gdy w Łucku i Krzemieńcu powstawały poważne placówki badawcze a poszczególne regiony Polski podejmowały lub rozbudowywały analogiczne akcje. Biblioteka Narodowa planowała urządzenie cyklu wystaw krajoznawczych; fakt że rozpoczęto od Wołynia był pójściem po linii najmniejszego oporu i tłumaczył się tym, że i *Rocznik Wołyński* i tworzący się przy Liceum Krzemienieckim Instytut Wołyński związane były bliską współpracą z „Rapperswilem” i Działem Rękopisów Nowszych Biblioteki.

Warszawa otrzymała wiosną 1935 dwie wystawy wołyńskie. Pierwszą z nich zorganizowało Zrzeszenie b. Wychowanków Liceum Krzemienieckiego — dawała ona przekrój życia współczesnego Wołynia. Druga — w Bibliotece Narodowej dawała podbudowę historyczną.

930 eksponatów, z których większość pochodziła ze zbiorów Jana Michalskiego, ujęto w trzy grupy: I. Wołyń, II. Wołyniacy, III. Krzemieniec. Ważnym uzupełnieniem były ryciny i rysunki, podzielone na portrety i widoki. Ze zrozumiałych względów, dla podkreślenia równoległości dwu odbywających się równocześnie wystaw, najsilniej wyeksponowano materiały dotyczące Krzemienia a w szczególności Liceum Czackiego i jego wykładowców i wychowanków. To znów narzuciło potrzebę sięgnięcia do zbiorów rapperswilskich i wydobywania z nich materiałów do działalności kilkudziesięciu wybitnych osobistości czynnych na Emigracji. Urodzony w Krzemieńcu, Juliusz Słowacki, nie był wychowankiem Liceum — twórczość jego, bezpośrednio i pośrednio związana z Wołyniem, nadawała jednak ton sali krzemienieckiej. W cztery lata później przypadała setna rocznica zgonu Poety. Wystawa warszawska stała się niejako próbą generalną wielkiej imprezy krzemienieckiej w lecie 1939, opartej podobnie o zbiory Jana Michalskiego i organizowanej przez ten sam zespół.

We wstępie (mego pióra) wyjaśniłam, że mianem Wołynia określiliśmy obszar byłego województwa wołyńskiego dawnej Rzeczypospolitej sprzed I-go rozbioru. Z ilościowo najbogatszej ale jakościowo mizernej literatury o Wołyniu w języku rosyjskim wydobyliśmy wydawnictwa źródła, zbiory dokumentów i takie np. pozycje jak historie Uniwersytetu Kijowskiego, rozpoczynające się od rozdziałów o likwidacji Liceum Krzemienieckiego po

powstaniu listopadowym. Literaturę w języku ukraińskim reprezentowali Michał Hruszewskij, Iwan Ohijenko i in. oraz wydawnictwa instytucji naukowych (np. lwowskiego Tow. im. Szewczenki).

Na wkładzie nauki polskiej silnie zaciążyły warunki pracy historyków w okresie rozbiorów. O tym, jak były trudne, świadczy najwymowniej fakt, że Metryka Wołyńska, wchodząca w skład Metryki Koronnej, przez cały wiek XIX-ty była praktycznie niedostępna a po roku 1920 nie powróciła do Polski. Przykładem jeszcze jaskrawszym są losy biblioteki i archiwum krzemienieckiego pozostającego do dziś w Kijowie. Mogliśmy jednak pokazać wartościowe prace źródłowe Aleksandra Przeździeckiego, T. J. Steckiego i Aleksandra Jabłonowskiego — a nawet niesłychanie rzadką rozprawkę francuską Jana Potockiego („Histoire ancienne du gouvernement de Volhynie”, Petersburg, 1805) — egzemplarz jej wypożyczyła Biblioteka Ordynacji Krasieńskich.

Wspaniale reprezentowana była na Wystawie literatura pamiętnikarska, w której — poza opisami życia obyczajowego na Wołyniu — wybijały się pamiętniki Krzemieńczan, dotyczące Liceum oraz wspomnienia ilustrujące udział Wołynia i Wołyniaków w powstaniach narodowych. O atrakcyjności regionu świadczył fakt, że związali się z nim serdecznymi więzami pisarze nie urodzeni na Wołyniu, ale tam czynni przez ważne okresy życia a więc np. Józef Ignacy Kraszewski, którego „Athenaeum” rozchodziło się po Polsce z redakcji w Gródku i Hubinie na ziemi wołyńskiej. Znany powieściopisarz jest jednocześnie nieznanym a biegłym rysownikiem: na wystawie pokazano jego niezmiernie ciekawe i wartościowe „Ilustracje do Wspomnień Polesia, Wołynia i Litwy” (1842).

Katalog Wystawy Wołyńskiej (z indeksem nazwisk i nazw miejscowości) jest, podobnie jak kartograficzny, substytutem przewodnika bibliograficznego. Dotyczy w wielu wypadkach obiektów już nie istniejących, by przykładowo wymienić druki w języku hebrajskim z Oleksińca (1767), Korca (1784 i 1803), Porycka (1787), Połonnego (1795), Sławuty (1798 i 1812) i Zasławia (1807).



Po roku 1935 działalność wystawowa Biblioteki uległa zahamowaniu, co tłumaczy się zmianą na stanowisku dyrektora i skoncentrowaniem uwagi na pracach zmierzających do uporządkowania i skatalogowania szybko rosnących zbiorów. Biblioteka brała jednak udział w organizowaniu imprez firmowanych przez

inne instytucje: np. wystawy pośmiertnej Andrzeja Struga, urządzonej wiosną 1938 w Bibliotece Publicznej i wreszcie tragicznej wystawy Słowackiego w Krzemieńcu, przerwanej wybuchem wojny. Ekspozyty z niej powróciły w większości do Warszawy w rezultacie ryzykownej ekspedycji, którą w roku 1943 podjął prof. Stanisław Herbst z inicjatywy dr. Grycza. Opis jej pomieścił Stanisław Lorentz w tomie I-szym „Walki o dobra kultury. Warszawa 1939-1945”, (1970).

Zabawnym marginesem akcji wystawowej był nieoficjalny pokaz książek najgorszych zorganizowany z okazji listopadowego święta Biblioteki 28. XI w roku 1933? 1934? przez Hanę Nowakowską w oparciu o egzemplarze obowiązkowe. Pomysł podsunęły *Wiadomości Literackie* i Tuwim. Rewia wypadła wspólnie — i bogato. Dotąd pamiętam perły wierszy grafomanów, rady pszczelarza „staruszka Molickiego”, dział zatytułowany „Skarbnica wususińskich”, rozprawki podważające zasługi Kopernika i Einsteina itp., itd. Wystawa wyprzedziła systematyczne badania Janusza Dunina nad literaturą kramarską i brukową. Ponieważ dotyczyła książek najnowszych w obawie przed reakcjami zainteresowanych autorów nie można było udostępnić jej szerzej i obejrzało ją tylko nieliczne grono wtajemniczonych.

Pro domo sua

Wybuch wojny przerwał normalny tok prac zakłóconych dopiero w końcu sierpnia 1939 pośpieszonymi pracami nad ewakuacją najbardziej zagrożonych i najcenniejszych obiektów. Mąż mój, współwłaściciel Wytwórni Radiotechnicznej AVA, produkującej maszyny szyfrowe dla Sztabu Głównego, otrzymał rozkaz opuszczenia Warszawy. Pierwszym etapem naszych wędrówek wojennych był Krzemieniec, w którym — w drugim tygodniu wojny — zdołałam załadować do skrzyń ekspozyty przygotowywanej w maju Wystawy Słowackiego. Sądzę, że przyczyniło się to do ich uratowania, bo uchroniło przed rozproszeniem. Pamiętam, że do sal wystawowych wnoszono, w miarę ich opróżniania, łóżka polowe dla ewakuowanych do Krzemieńca urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przy pracy tej zaskoczył nas ciężki nalot lotniczy niemiecki; bomby nie trafiły w gmachy licealne, pustosząc jednak dworki w pobliżu. Starałam się dzielić ekspozyty wystawowe na grupy w zależności od ich proveniencji — tak, jak gromadziłam je wiosną 1939 w Warszawie.

Dalszym moim spotkaniem z fragmentami zbiorów Biblioteki

Narodowej, było późną jesienią 1939 roku sprawdzanie zawartości kufrów z najcenniejszymi obiektami ewakuowanymi z Warszawy w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Powędrowały dalej do Kanady i razem z arrasami powróciły po latach do Kraju.

Na tym urwały się kontakty bezpośrednie, dotykalne. Uważałam się jednak nadal, do końca wojny, za pracowniczkę „Narodowej”, czasowo przydzieloną do innych pokrewnych instytucji. W Funduszu Kultury Narodowej czuwałam nad wysyłkami paczek do moich dawnych kolegów, zdobywając z trudem ich adresy domowe. Pamiętam, że przewertowałam okupacyjną książkę telefoniczną i szturmowałam o informacje Oflagi, w których ugrzęzli mężowie kilku koleżanek. Już w roku 1942, gdy powstała pod przewodnictwem Sir Ernesta Barkera, profesora Uniwersytetu w Cambridge, *Books Commission* wyłoniona przez *Conference of the Allied Ministers of Education*, byłam w niej delegatką Rządu R.P. na Wygnaniu. Jednym z zadań Komisji było gromadzenie książek, które zasilić miały i odnowić biblioteki uniwersyteckie i narodowe w krajach okupowanych. Zakupy przeznaczone dla Polski miały być przesłane po wojnie do Biblioteki Narodowej oraz bibliotek uniwersyteckich w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Wilnie. Niezależnie od tej akcji międzynarodowej podjęliśmy w Funduszu Kultury Narodowej systematyczne zakupy druków polskich i Polski dotyczących wydanych poza granicami Kraju, uważając że są one ekwiwalentami „egzemplarzy obowiązkowych”. Kompletując je, czułam się nadal pracowniczką Biblioteki Narodowej.

W okresie wojennym czuwaaliśmy nad informowaniem opinii światowej o losach bibliotek polskich i ich stratach. Moim własnym dorobkiem są polskie i angielskie broszury i pokaźny ciąg artykułów w prasie polskiej i fachowych czasopismach bibliotekarskich angielskich.

Koniec wojny przyniósł drastyczną zmianę sytuacji. Decyzja pozostania poza Krajem przekreśliła możliwości normalnego kontynuowania pracy w Bibliotece Narodowej, nie przekreśliła jednak sentymentalnych związków z instytucją, której zawdzięczałam opanowanie rzemiosła bibliotekarskiego i bogaty zasób doświadczeń wysoce przydatnych w dalszej pracy na placówkach emigracyjnych a przede wszystkim w londyńskiej Bibliotece Polskiej. Świadomie postawiłam sobie za zadanie kompletowanie poloników zagranicznych, zdając sobie sprawę, że moi koledzy krajowi nie są w stanie podejmować tego zadania. Dopełnieniem ich prac w Instytucie Bibliograficznym była i jest nadal *„Bibliography of Books in Polish or Relating to Poland published out-*

side Poland since September 1st, 1939”, rozpoczęta pod moim okiem przez śp. Janinę Zabielską a po jej śmierci kontynuowana przeze mnie i moich współpracowników z personelu Biblioteki Polskiej w Londynie.

Książki zgromadzone w czasie wojny w ilości około 20.000 tomów przekazane zostały do Kraju za pośrednictwem angielskiego *Foreign Office*'u w roku 1946-50. Przydziały przeznaczone dla Lwowa i Wilna iść miały do Torunia i Wrocławia. Nigdy nie mogłam uzyskać konkretnych wiadomości o ich losach, a pogłoski uporczywie powtarzały, że polskie polonica wojenne świadomie uległy zniszczeniu. Powtarzam: „pogłoski”, nadal łudząc się, że tkwią w czeluściach „prohibitów” i przynajmniej fizycznie istnieją.

Pięćdziesięciolecie istnienia Biblioteki, w której przed tyłuż laty rozpoczynałam pracę zawodową mego życia, przyjmuję z uczuciami mieszanymi. Jest coś wysoce nienormalnego w tym, że „Narodowa” nie może obchodzić „złotych godów” pod własnym dachem, choć niewątpliwą pociechą jest fakt rozpoczęcia budowy okazałej siedziby. Na moim własnym podwórku jest zjawiskiem niecodziennym fakt, że można było przepracować tak długi okres czasu w stałej łączności z księgozbiorami emigracyjnymi. Naprzód w Warszawie — ale także w „Rapperswilu”, potem, w roku 1940, w Bibliotece Polskiej w Paryżu, gdzie w czerwcu, w czasie *débacle*'u, jak przed niespełna rokiem w Warszawie, pomagałam przy zabezpieczaniu zbiorów przed zbliżającymi się już nad Sekwanę armiami niemieckimi. I wreszcie w latach 1943-1973 w Londynie, gdzie — zachowując ciągłość numerów inwentarzo- wych — kierowałam Biblioteką Polską, przeżywając kilkakrotnie zmiany nazwy, przydziałów do instytucji nadrzędnych (np. Polish University College) — aż wreszcie, ale już bez mnie, Biblioteka wyszła ze stanu bezdomności uzyskując nowoczesne pomieszczenia w gmachu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Moim przeznaczeniem było pracować pod cudzym dachem, co symbolicznie wiąże mnie jeszcze bliżej z „Narodową”.

Wspomnienia urwałam świadomie na dniu wybuchu wojny, wiedząc że lata późniejsze są i będą wszechstronnie opisywane w Kraju. Ze znanych mi relacji wyłania się obraz niezmiernie trudnych zmagani z okresu okupacji, gdy moi bohaterscy koledzy życiem, udrękami więziennymi i obozowymi i utratą zdrowia przyplacali wierność kulturze polskiej i reprezentującym ją placówkom.

Przypuszczam, że tegoroczne wydawnictwa rocznicowe skoncentrują uwagę na okresie powojennym i dotyczyć będą nowej,

z autopsji mi już nieznaną Biblioteki Narodowej. To nadaje sens moim reminiscencjom, utrwalającym obraz wyłaniania się i wzrostu w Dwudziestoleciu Niepodległości. Dedykuję go moim dawnym kolegom na tym i tamtym świecie.

Feijó (Portugalia), 1977-78.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Nota bibliograficzna: „Wspomnienia o Bibliotece Narodowej, 1928-1939” są zmieniona i uzupełniona wersją serii artykułów pt. „Bezdomne bibliotekarstwo” ogłoszonych w *Wiadomościach* londyńskich w latach 1966-77 oraz kanadyjskim *Związkowcu* (w nrze grudniowym z 1967 r.). Wyzyskałam nadto fragmenty felietonów radiowych wygłoszonych przed mikrofonem Radia Wolnej Europy w latach 1955-77. Ogromną pomocą były przedwojenne broszury o Bibliotece pióra Stefana Dembego, Józefa Grycza i Alodii Kaweckiej-Gryczowej, katalogi rękopisów i katalogi wystaw. Te ostatnie uzyskałam niedawno temu dzięki życzliwej pomocy osób *of necessity anonymous*. Za epilogiem „Pana Tadeusza” mogłabym mówić o „przyjaciółach, którzy pomogli rozmowie” — i wspólnym wskrzeszaniu zapadających w nicość wspomnienia ludzi i spraw.

Autorka, kierowniczka Biblioteki Polskiej w Londynie w latach 1943-1973, rozpoczęła pracę zawodową w czerwcu 1928 w Bibliotece Narodowej w Warszawie i kontynuowała ją tam do września 1939 roku.

**A C H E V E D'IMPRIMER
LE 29 NOVEMBRE 1978
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)
Dépôt légal : 4^e trim. 1978
Imprimé en France.**

